czas. 11049/32/5

ROK ZAŁOŻENIA 1933 LUBLIN 20.III.1965 Nr 5 (315) CENA 2 ZŁ

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów

JAN JANTAR

Szlem nie do wygrania

Granica na Odrze i Nysie należy do największego tabu w życiu Niemieckiej Republiki Federalnej. Nie, nie dlatego, że nie wolno o niej mówić, lub pisać. Jest to w gruncie rzeczy jeden z najbardziej popularnych tematów, najczęściej poruszany problem. Rzecz w tym, w jaki sposób się o nim mówi, co się pisze. Jeśli się nie chce narazić na zarzut zdrady narodowej, trzeba być przeciw tej granicy.

NEGATYWNY stosunek do polskiej granicy zachodniej stał się jednym z głównych elementów „ojczyźnianej" postawy i miernikiem swoiście pojętego patriotyzmu. „Prawdziwy" Niemiec nie mówi nigdy: granica na Odrze i Nysie, on używa słowa: linia Odra — Nysa. Nie ma żadnej granicy, nie ma żadnych polskich Ziem Zachodnich, nie ma państwa polskiego. Są... Wschodnie Niemcy. Na mapach, w podręcznikach, w taryfie pocztowej, na drogowskazach.

Dotyczy to nie tylko granicy na Odrze i Nysie. Podobny stosunek żywi się w Niemczech zachodnich do granic południowych, łączących NRF z Czechosłowacją, Austrią i Włochami. Również w tych wypadkach rzadko używa się sformułowania: granica, „prawdziwy" Niemiec musi tu też manifestować swoją ojczyźnianą postawę.

Ten negatywny stosunek NRF do większej części obecnych granic niemieckich wywołuje logiczne pytanie o zasięg pretensji terytorialnych, o drugą stronę tego medalu z napisem „nein".

Jakich granic żądają te koła w NRF, które kwestionują obecne rozwiązania? Gdzie sięgają ich apetyty?

Łatwo zapytać, trudniej odpowiedzieć. Na pierwszy rzut oka można w stanowisku oficjalnych kół zachodnioniemieckich rozróżnić kilka koncepcji, przeprowadzić jakąś linię podziału między np. rządem bońskim a kierownictwem organizacji przesiedleńczych. Bliższa analiza prowadzi jednak do ciekawego odkrycia: wbrew pozorom apetyt jest jednakowo duży, różnice nie dotyczą celu.

Rząd zachodnioniemiecki stoi oficjalnie na stanowisku restytucji granic Niemiec z 1937 r. Odwrót mocarstw zachodnich od uchwał poczdamskich i montowanie Paktu Północnoatlantyckiego doprowadziło do konferencji londyńskiej w 1954 r., w której akcie końcowym znalazła się formuła, że ostateczne ustalenie granic Niemiec musi być odłożone do zawarcia traktatu pokojowego.

Było to ustępstwo na rzecz rewizjonistycznej polityki Niemiec zachodnich, a jednocześnie zajęcie wygodnej pozycji przetargowej wobec obozu socjalistycznego. Formuła ta nie kwestionowała jednak wyraźnie istniejących i zatwierdzonych także przez mocarstwa zachodnie granic Niemiec. *„Formuła ta była jednak dostatecznie pojemna, by mogła pomieścić różne wykładnie. Tak więc NRF interpretuje ją rozszerzająco, przyjmując, że w jej ramach mieści się ipso facto uznanie granicy Niemiec z 1937 r."* [1]).

(Dokończenie na str. 4)

Apetyty bońskich rewizjonistów...

Kielce bliżej TV

Na temat kieleckiej telewizji rozmawiamy z kierownikiem Wydziału Propagandy KW PZPR w Kielcach tow. ANDRZEJEM PIERZCHAŁĄ.

— Jesteśmy jednym z nielicznych województw w kraju, które nie dysponują jeszcze nadajnikami telewizyjnymi o mocy zapewniającej technicznie odbiór programu...

— Ale to już sprawa kilku miesięcy. Wszystko w ręku budowlanych, do nich należy ostatnie słowo. To prawda, że Kielecczyzna dość późno otrzyma stację telewizyjną z prawdziwego zdarzenia, ale złożyło się na to tak wiele rożmaitych powodów, na które tu, w Kielcach, nie mieliśmy wpływu, że w gruncie rzeczy powinniśmy być zadowoleni z tego, co już mamy. Nie chciałbym wracać do całej prehistorii tematu, niemniej, chociażby dla przypomnienia czytelnikom kieleckiej „drogi przez mękę" do telewizji, mogę powiedzieć, że trzeba było pokonywać nie tylko dziki krajobraz Świętego Krzyża, lecz także nie wiadomo od kiedy tkwiący w ludziach strach przed nowym. Normalnie w takich, jak nasz, przypadkach wybiera się miejsce pod budowę, opracowuje dokumentację techniczną i buduje. Pech, czy raczej, moim zdaniem, logiczne rozumowanie, chciało, że postanowiono budować nowy ośrodek telewizyjno-radiowy na Świętym Krzyżu. Góra o wysokości około 600 metrów i antena nadawcza 120 m gwarantują doskonały odbiór programu nie tylko w samym województwie kieleckim lecz także poza jego granicami.

(Dokończenie na str. 7)

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Z nieznanej korespondencji Brunona Schultza

KIEDY w r. 1934 ukazały się „Sklepy cynamonowe" i Bruno Schultz zwycięsko wkroczył do literatury, Zenek *) po przeczytaniu tej książki wyznał mi, że jej autor był jego kolegą z Politechniki Lwowskiej i że przez dwa lata na wykładach siedzieli przy jednym stole. Zgodnie przyszliśmy do wniosku, że trafia się wyjątkowa okazja, której nie można pominąć: wciągnięcie Schultza do „Kameny" przydałoby naszemu pismu splendoru. Wprawdzie od rozstania kolegów upłynęło kilkanaście lat, ale chyba ex-architekt, a obecnie chwalony powszechnie pisarz przypomni sobie Zenka. Waśniewski zdobył adres Schultza i wysłał mu list sięgający wspomnieniami odległych czasów lwowskich.

Schultz zrazu nie mógł sobie uprzytomnić, kto był autorem tego listu, z którego *„powiało"* nań *„dawnym czasem, raz na zawsze już zda się — stracony"*. Odpisał bardzo uprzejmie tytułując Zenka *„Szanownym Panem Kolegą"* i prosząc o dalsze wiadomości. Ale już w następnym liście wyraz *„Szanowny"* zastąpił *„drogim"* — jeszcze z *„Panem Kolegą"*, a później stale już bez „pana". Bo przysłane fotografie wyraźnie wywołały w pamięci Schultza obrazy i sytuacje chwilowo zasnute mgłą oddalenia. Okazało się, że obaj niedoszli architekci „wylądowali" w zawodzie nauczycielskim, że ten im obu nie wystarcza, że wyżywają się w literaturze i plastyce.

Tak więc między odnalezionymi kolegami, którzy tyle mieli wspólnego, wywiązała się długa i ożywiona korespondencja. Zenek otrzymał w latach 1934, 1935, 1937, i 1938 — łącznie dwadzieścia pięć listów i kartek, z czego najwięcej, bo czternaście, przypada na r. 1934. Odsłania się z nich wyraźnie przewrażliwiona, subtelna natura artysty, intuicyjnie czującego zbliżającą się katastrofę, w której zarówno on — wcześniej — jak i jego kolega — później, już na progu wyzwolenia — mieli zginąć.

Już w czwartym liście Schultz pisze: *„Jestem również wzruszony i ucieszony naszym dziwnym spotkaniem (...) Jeśli nie odpłacam się Wam równą obfitością wynurzeń — to dzieje się to z dziwnego zahamowania, jakiemu podlegam od pewnego czasu, jakiegoś braku radości, depresji, do której nie znajduję dostatecznej przyczyny. Muszę chyba być chory nerwowo. Miałbym teraz dużo powodu do zadowolenia, mógłbym sobie pozwolić na trochę radości, a zamiast tego przeżywam nieokreślony strach, zmartwienie, żałość życia"*, i dalej stylem „Cynamonowych sklepów": *„A właśnie spadła na świat taka nieprawdopodobna i błyszcząca*

(Dokończenie na str. 7)

MAREK ADAM JAWORSKI

W dwudziestolecie „Sztandaru Ludu"

Zamiast życzeń...

BYŁ rok 1946. Uczęszczałem wówczas do I klasy licealnej (starego typu) w Chełmie Lubelskim. Po obejrzeniu spektaklu Teatru Ziemi Chełmskiej wysłałem krótką recenzyjkę do „Sztandaru Ludu". Później codziennie szczegółowo, jak to się mówi — od deski do deski, przeglądałem gazetę: zamieszczą czy nie?

Recenzyjka ukazała się na ostatniej stronie. Wprawdzie mocno okrojona, ale kto by wówczas zwracał uwagę na takie drobiazgi!

Po kilku tygodniach, kiedy wraz z całą klasą przyjechaliśmy do Lublina i tutaj poszli do „prawdziwego teatru", wykroiłem chwilę wolnego czasu i z mocno bijącym sercem zapukałem do gabinetu naczelnego redaktora „Sztandaru Ludu".

Redaktor Wohl poaniósł głowę znad zarzuconego papierami biurka. Nie pamiętam już przebiegu rozmowy, musiała ona jednak wypaść dla mnie zadowalająco, bo wychodząc z redakcji miałem pieczołowicie schowany w portfelu dokument, stwierdzający, że jestem korespondentem „Sztandaru Ludu" i że „wszystkie władze proszone są o udzielanie pomocy w pełnieniu obowiązków dziennikarskich".

Tak, tak... W 1946 r. łatwo można się było dostać na szpalty. Nie dziwię się dzisiaj młodym adeptom pióra, kiedy z zazdrością słuchają opowieści o tamtych czasach!

Teraz już częściej nadsyłałem do redakcji informacje o życiu miasta, działalności kulturalnej. Początkowo podpisywałem je „Oczko", później przeszedłem na kryptonim „MAJ" i tak już pozostało. Pierwsze honorarium wprawiło mnie w bajeczny nastrój, idąc z koleżanką na lody mogłem sobie pozwolić na duże porcje, za które płaciłem własnymi pieniędzmi.

Kiedy rozpocząłem studia prawnicze w Lublinie, ówczesny redaktor naczelny, Karol Jaworski (zbieżność nazwisk była zupełnie przypadkowa), zaproponował mi redagowanie, w porozumieniu z AZWM „Życie", którego byłem członkiem, kolumny akademickiej. Chętnie na to przystałem. Trochę materiałów dostarczał Alek Sroga i Jurek Lutowski, specjalizujący się wówczas w felietonach. Wpadał do redakcji na godzinę, zajmował maszynę, kładł swoje dzieło na biurku naczelnego i nie czekając na jego opinię znikał czym prędzej.

15 kwietnia — ten dzień dokładnie zapamiętałem — otrzymałem już stały etat w „Sztandarze". Jako praktykant miałem 8 tys. złotych (obiad popularny kosztował wówczas 75 zł) a poza tym wierszówkę za to, co napiszę. Już w pierwszym miesiącu „wyciągnąłem" około 17 tys. zł, czym zaimponowałem trochę starszym kolegom. Wszyscy traktowali mnie jednak bardzo serdecznie. I kiedy w styczniu 1949 r. otwarto półroczną Szkołę Dziennikarską przy KC PZPR, kolegium redakcyjne postanowiło wysłać mnie do Warszawy na „przeszkolenie". Nie zastanawiałem się długo: otrzymałem urlop dziekański na uczelni i hajda do stolicy!

Najpierw musiałem jednak przejść egzamin wstępny. Dyrektor szkoły, red. Wiktor Borowski, wziął mnie w swoje obroty. Z problematyką międzynarodową nie miałem jednak specjalnych kłopotów, gorzej było z historią WKP(b), ale wykłady tow. Walentyny Najdus i jej wymagania pozwoliły później z nawiązką nadrobić te braki. Jeszcze dzisiaj „Krótki kurs" śni się po nocach...

Wróciłem znów do „Sztandaru Ludu". Przybyło tu kilku nowych dziennikarzy, przede wszystkim — sekretarz redakcji, Jurek Dostatni. Jemu to poświęciłem epitafium odczytane podczas jednej z uroczystości wewnątrzredakcyjnych: „Tu leży Dostatni — bezpartyjny sekretarz ostatni". Rzeczywiście Jurek był ostatnim bezpartyjnym sekretarzem w partyjnej gazecie. Nie długo zresztą...

Redaktor nacz. skierował mnie do działu depeszowego, ciągle nie obsadzonego. Depesze na zmianę przygotowywało kierownictwo redakcji, które teraz chętnie pozbyło się tego absorbującego zajęcia. Markowałem więc nocami, skracałem, kleiłem, robiłem tytuły, makietowałem, wszystko w błyskawicznym tempie, ograniczony terminami wysyłania materiałów do drukarni.

Któregoś wieczoru, kiedy nie było nawału wiadomości, w przerwie między przygotowaniem pierwszej i drugiej strony napisałem wiersz, który poświęciłem murarzom lubelskim: właśnie osiągnęli oni jeden z modnych wówczas rekordów. Bez konsultacji z kimkolwiek przepisałem wiersz na maszynie, zamieszczając go pod wiadomością o murarskim sukcesie. Tego jeszcze nie było — wiersz jako komentarz?

Następnego dnia redaktor naczelny wezwał mnie na „rozmowę" i solidnie objechał. Nie próbowałem się nawet bronić... Ale w tydzień potem ten sam redaktor poklepał mnie serdecznie po ramieniu. „Wiecie — mówił — wasz wiersz cytowano na konferencji partyjnej! Stwierdził, że to jest dopiero operatywność gazety!"

No więc dbałem o tę operatywność, pisząc różne okolicznościowe wiersze na „zadane tematy". W tym czasie nie było to zbyt trudne, wystarczyło, aby były rymy, możliwie nie częstochowskie, i trochę rytmu...

Zmieniali się redaktorzy naczelni — po red. Karolu Jaworskim przyszedł red. Edward Adamiak, który w tych trudnych czasach potrafił sobie zyskać duży autorytet i sympatię zespołu, a później red. Marian Wawrzycki do dziś miłościwie panujący — a ja ciągle tkwiłem na depeszach. Kiedy już się bardzo buntowałem, że nie mam zupełnie czasu na życie osobiste, przerzucano mnie do działu rolnego, partyjnego czy miejskiego, ciągle jednak wracałem na noc. To brzmi trochę jak samochwalstwo, ale zawsze mówiono mi, że „kierownictwo redakcji chce spać spokojnie". Ja przecież też chciałem!

Mimo wszystko depesze są jednak dobrą szkołą dziennikarską. Człowiek jest właściwie pozostawiony samemu sobie, a na podjęcie decyzji ma bardzo mało czasu. Depesze uczą samodzielności, wyrabiają własny punkt widzenia, bo przecież PAP-owską depeszę można dowolnie opracowywać, skracać czy też komentować. Niekoniecznie... wierszem!

* * *

Dziś „Sztandar Ludu" obchodzi swoje dwudziestolecie. W tej redakcji pracowałem prawie dziesięć lat, do października 1957 r., kiedy to postanowiłem przenieść się do „Głosu Szczecińskiego", wpadając w zupełnie inne problemy. Dziesięć lat — to szmat czasu. I dlatego dwudziestolecie „Sztandaru" jest i moim świętem.

Marianie (Wawrzycki), Włodku (Smutku), Józku (Porębski), Tadziu (Gwardaku)! Jak to się śpiewa? „Sto lat!" Doczekajmy stulecia „Sztandaru Ludu"! Jedną piątą mamy już poza sobą!

Przegląd Prasy

DOBRZE jest czasem usłyszeć, jak nas widzą i jak nas piszą inni. Takie spojrzenie z daleka pomaga nawet uświadomić sobie fakty, o których tu na miejscu mało co się wie, albo ich się nie docenia. Nieraz już na tym miejscu odnotowywało się rozmaite publikacje o sprawach czterech wschodnich województw. Wśród ostatnich do bardziej interesujących należą reportaże miesięcznika „Nadodrze", ukazującego się w Zielonej Górze. Po reportażu poświęconym Rzeszowszczyźnie R. Rowiński drukuje nowy: „Kresy — 3. Lubelszczyzna". Autor pisze tu o wszystkim po trochu: o ośrodku naukowym, kawiarni „Lublinianka", kanale Wieprz-Krzna, rolnictwie... Na końcu pisze autor o społecznych komisjach pojednawczych, które u nas tak dobrze zdały egzamin.

„Lubelski chłop jest zasiedziały i przywiązany do ziemi. Ze swoimi sąsiadami współżyje od pokoleń. Nie znaczy to jednak, że stosunki między sąsiadami bywają idyliczne, rzec można że często są one zaprzeczeniem idylli. Ludzie kłócą się o sprawy w sam raz na skalę sąsiedzką — że krowa weszła w szkodę, że miedza podorana, że przelechał przez pole, że żona przy studni powiedziała to a to. Tego rodzaju spory są potem sprawą, którą rozstrzygać ma wysoki sąd i tak przeciążony pracą. Postanowiono i w tej mierze zmienić oblicze lubelskiej wsi. (...). Niech sąsiedzi, którzy wiedzą, na czym kto siedzi, bez sądu rozstrzygają swoje sprawy. W minionym roku przed komisjami stanęło zagadnienie rozstrzygnięcia 657 spraw. Obliczono, że 358 spraw zakończonych zostało zgodą sąsiadów. Oczywiście zgodę opija się z udziałem członków komisji i stron w najbliższej gospodzie".

Ale pisze autor i o drugim obliczu postępu wsi, zauważając, że odbywa się on jednak z przeszkodami: **„w rytmach poszerzenia usług dla wsi w niektórych gromadach uruchomiono wiejskie zakłady fryzjerskie. Po roku analiza ich działalności wykazała, że większość z nich przynosi straty a miesięczny obrót wynosi 3 (dosłownie trzy) złote. I to też jest prawidłowość".**

W przemianach, jakim podlega wieś lubelska, ma duży udział społeczny ruch kulturalny, czy ostatnio ciekawie rozwijające się kluby rolnika. Ten fakt stał się jednym z punktów wyjścia artykułu J. Łapińskiego „Odpowiadając niecierpliwym" wydrukowanego w „Tygodniku Kulturalnym". O co chodzi? Otóż ten żywiołowy rozwój klubów „Ruchu" i klubów rolnika wywołał rozmaite obawy i zastrzeżenia co do dalszego kierunku ewolucji życia kulturalno-oświatowego na wsi. A przecież to tempo i żywiołowość rozwoju świadczy, że forma klubu istotnie odpowiada potrzebom i aspiracjom wsi. Przy tym powstają one z inicjatywy mieszkańców, zwłaszcza mieszkańców — członków ZMW.

Otóż niektórzy publicyści narzekali na brak programu i jakiejkolwiek działalności kulturalno-oświatowej. Jest lokal, wyposażenie, stoliki, radio, książki, prasa telewizor. Czyżby to mało? Ano nie ma wielkich imprez, nie ma drętwoty dawnych świetlic.

„Natomiast teraz przychodzą nie tylko od święta czy z okazji jakiegoś wydarzenia we wsi. Przychodzą codziennie, żeby sobie zwyczajnie posiedzieć, wypić kawę, porozmawiać w estetycznie urządzonym klubie. A to jak widać niektórych denerwuje.

Doprawdy, czyż ludziom zajmującym się sprawami wsi tak trudno zrozumieć, że rolnik, nauczyciel, agronom czy kowal może mieć ochotę pójść do klubu i tam sobie posiedzieć w wygodnym fotelu? Tak zwyczajnie posiedzieć. Czy od razu musimy go jakoś ustawiać, organizować, mobilizować, angażować, i licho wie co jeszcze z nim robić?

Ciekawe, że mało kogo interesuje, co robią całymi godzinami ludzie w miejskich kawiarniach, czy choćby w Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki. Nikogo nie zastanawia, czy oni się nudzą, czy nie. Natomiast na wsi, jeśli nie tańczą krakowiaka, nie ćwiczą jakiejś sztuki, czy nie recytują wierszy, albo nie słuchają prelekcji, to zaraz musi być nuda, beznadziejność itd. itp.

Otóż wydaje się, że cała atrakcyjność klubów polega m. in. na tym, że można tam nie tylko brać udział w jakimś zespole, uczestniczyć w jakiejś imprezie, lecz można także w sposób swobodny i kulturalny spędzić wolny czas, posiedzieć, porozmawiać, przejrzeć prasę, obejrzeć program TV czy posłuchać radia".

Trudno chyba postawić sprawę jaśniej i — słuszniej.

T. K.

Rozmowa z wiceprzewodniczącym Prezydium WRN w Kielcach Ryszardem Dziekanem

KAMENA: — Przepraszamy, ale bez przydługiego wstępu, chcieliśmy poprosić o wywiad dla „Kameny". Tymi słowami powitaliśmy wiceprzewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach, RYSZARDA DZIEKANA. Rok kulturalno-oświatowy 1964—65 osiągnął półmetek. Spośród wielu spraw wysunięto w Kielecczyźnie na czołowe miejsce sprawę koordynacji wszelkich poczynań kulturalnych. Czy widoczne są już efekty w tej mierze?

R. DZIEKAN: — Za wcześnie o tym mówić a tym bardziej podsumowywać. Rok kulturalno-oświatowy trwa, a koordynacja poczynań kulturalnych to przedsięwzięcie obliczone na dłuższą metę. W założeniach naszych koordynacja to po prostu dążność do zaspokojenia potrzeb kulturalnych wszystkich środowisk.

KAMENA: — W jaki sposób zamierzacie to osiągnąć?

R. DZIEKAN: — Organizatorem życia kulturalnego są nie tylko rady narodowe. Stwierdzenie to można zresztą odwrócić: kto u nas nie jest organizatorem życia kulturalnego i u kogo brak tego rodzaju aspiracji? Rzecz w tym jednak, aby działać wspólnie, nie rozpraszać środków finansowych, właściwie wykorzystać istniejącą już bazę materialną i ludzką. Zawarliśmy przeto szereg porozumień ze związkami zawodowymi, organizacjami młodzieżowymi, spółdzielczością handlową i PUPiK „Ruch". Słowem z placówkami dysponującymi określonymi funduszami na działalność kulturalną. Realizacja naszych porozumień umożliwi weryfikację wszystkich placówek finansowych przez gromadzkie rady narodowe, dopomoże w ustaleniu sieci placówek kompleksowych. Placówki te powstawać będą przede wszystkim we wsiach, siedzibach gromadzkich rad narodowych. Chcemy, aby placówki te były ośrodkami kultury skupiającymi pracę biblioteki z czytelnią, świetlicy z klubem, ewentualnie dysponującej kinem. Placówki te korzystać będą w pierwszym rzędzie z kredytów na działalność i na uzupełnienie wyposażenia.

KAMENA: — A konkretnie, jakie zadania stawiacie przed wspomnianymi placówkami i wobec współorganizatorów życia kulturalno-oświatowego?

R. DZIEKAN: — Placówki kompleksowe realizować będą szerszy program, zwłaszcza w pracy oświatowej i upowszechnianiu sztuki, wykorzystując do tego specjalny, nowoczesny sprzęt i środki masowego przekazu. Związek Młodzieży Wiejskiej, „Samopomoc Chłopska" i PUPiK „Ruch" zająć mają się równomiernym rozmieszczeniem klubów prasy, klubo-kawiarni, klubów młodego rolnika w mniejszych wsiach.

5 pytań

Szczególną troską naszego Wydziału Kultury i Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa jest opracowanie programu działalności kulturalno-oświatowej w państwowych gospodarstwach rolnych i spółdzielniach produkcyjnych.

KAMENA: — Z umacnianiem istniejących placówek i rozszerzaniem ich sieci wiąże się ściśle sprawa rozwoju poradnictwa i instruktażu. Wiadomo jednak, że w tym względzie województwo kieleckie ma sporo kłopotów. Czy realizacja wymienionych założeń nie pogłębi tych trudności?

ROMUALD KARAŚ

Marynarze lądów

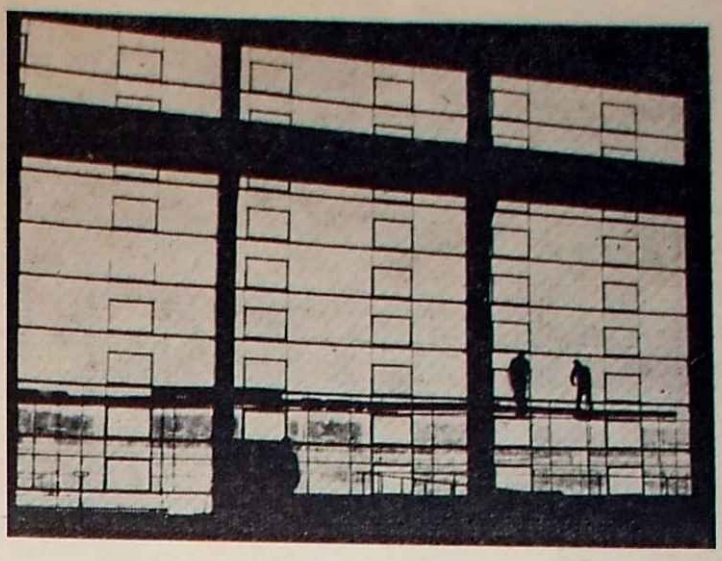

Fot. S. Papciak

TAK. To on — majster Mieczysław Jankowski. W karakułowej czapce, w rogowych okularach, w pantofelkach wyczyszczonych do połysku. Mówiono mi o nim: intelektualista w waciaku, elegant, tancerz pierwszej klasy, taktyk i spryciarz. Gdy trzeba — do rany da się przyłożyć. Innym razem — brzytwa.

Życiorys? Jak każdego z Mostostalu — niezwykły.

Dwa roczniki

— Skąd pan pochodzi?

— Wieś Trojanek koło Łomży w Białostockiem. Dziewięć chałup — i wszystko.

Stamtąd pan trafił do Mostostalu?

— Nie, z Warszawy.

— Więc przedtem?...

— Byłem wywieziony na roboty do Prus Wschodnich. Tam się zetknąłem z moim zawodem.

— A potem...

— Przyjechałem do Warszawy szukać brata. Niestety, nie znalazłem. Zginął w powstaniu.

— To jedyny brat?

— Nie, było nas sześciu. Jest pięciu, choć niewiele brakowało, żeby zginął i drugi brat. Był saperem w wojsku. W czasie rozminowywania stracił od wybuchu ręce. Na gospodarce osiadł najstarszy brat. Reszta — wyfrunęła z rodzinnych stron.

— Ile lat pracuje pan w Mostostalu?

— Dwadzieścia.

— To już historia.

— Osobista — na pewno. Zawodowa — także: najpierw wznosiliśmy mosty — Poniatowskiego, Śląski, potem huty — Bobrek, Warszawa. Teraz przyszły obiekty wielkiej chemii. Wśród nich — Puławy.

— Czym jest dla pana wielka budowa?

— Tym, czym dla dziennikarza pisanie.

— To tak bez oporów, buntów wszedł pan do zawodu, stał się Cyganem wędrującym po kraju z jednego wielkiego placu budowy na drugi, trzeci, czwarty?...

— Nie, nikomu nie przyszło to łatwo. W pierwszej fazie buntowałem się jak rekrut w wojsku. Ale minęło. Teraz — dokąd każą, tam się jedzie. Montujemy konstrukcje. To, co nas trzyma, to efekty. Człowiek widzi swoją pracę, cieszy się nią. Na każdej wielkiej budowie zostawiamy kawałek serca. Ale o tym trzeba zapomnieć, zająć się nową robotą...

— Ten, panie, byle tylko miał za co się uchwycić — do nieba się wdrapie. Sprytny jak kot.

Zadzieram głowę i patrzę, jak na szczycie pięćdziesięciometrowego regeneratora uczepiony pasami stoi na dwu wąziutkich występach. Spawa. Zmienia pozycję. Przesuwa się. Pająk nie człowiek. Od obserwowania jego akrobacji aż mi się w głowie kręci. A przecież stoję na ziemi, nie zwisam nad głęboką przepaścią.

Czekam aż pająk przywędruje na dół. Jest. Już skończył swoją robotę.

Stoi chłopczyna mały, wesołutki, pogodny, delikatny jak dziewczynka. Zaparło we mnie dech: czy to robotnik? A „pacaniątko" cały czas śmieje się, szczerzy zęby, rozbraja mnie zupełnie.

— Co, wróbel ze mnie? — mówi Marian Bracha.

W głowie mi się nie mieści, że oglądam jednego z najlepszych fachowców puławskiej budowy. Jak trafił ten dzieciak do Mostostalu, jak związał się z robotniczą załogą?

— Tak się złożyło, że musiałem już pracować od najmłodszych lat. Po powrocie z obozu koncentracyjnego ojciec ciężko chorował a potem zmarł. Trzeba było zapracować na rodzinę. Chwytałem się każdego zajęcia od handlu, aż po dorywcze roboty, których nie było jednak wiele w mojej rodzinnej miejscowości — Jastrzębiu w Kieleckiem. Wyfrunąłem więc stamtąd. I pracuję w Mostostalu. Robota dobra. Zarobić można sporo. Ale wydatków mam dużo. Całe szczęście, że brat już skończył politechnikę i nie muszę mu pomagać. Zostały mi jeszcze trzy uczące się siostry i mama. Dlatego muszę się liczyć z groszem i po wypłacie stracić nie więcej niż na pół litra. Inaczej — nie byłbym w zgodzie z sumieniem. Bo choć jestem kawalerem, mam sytuację podobną do ojca rodziny.

— A czy Puławy pociągają pana? Chciałby pan tu może zamieszkać?

— Mnie się bardzo tutaj podoba. Chętnie bym pozostał, wyuczył się jakiegoś zawodu i pracował w Azotach. Bo tak naprawdę, to w Mostostalu, choć praca jest piękna, ale człowiek dla siebie nic właściwie nie ma. Po kilkunastogodzinnej harówce kładzie się każdy spać, bo nie jest zdolny do innych zajęć. Może wstyd się przyznać, ale ja dziewięć lat temu czytałem ostatnią książkę.

Rodem z Rzeszowskiego

Wyszedł właśnie ze środka regeneratora. Wewnątrz wielkiego baniaka zakładał podesty. Zgrzany, zmęczony odetchnął zapalając papierosa.

Zima na dworze, a tam wewnątrz — lato. Gorąco!

— Patrzyłem, jak parowały mu ręce i twarz. Jakby paliły papierosa, tyle że subtelniej.

Jakaż była droga życia tego montera? Czy też przeszedł wielką odyseję wędrówek?

Życiorys Jana Króla, choć zamknięty 32 latami, jest typowy dla ludzi z Mostostalu. Wywędrował z Binarowej — rodzinnej wsi w Rzeszowskiem, gdzie na rodzeństwo przypadało wszystkiego półtorej morgi. Pracował przy budowie huty Częstochowa, zakładów chemicznych w Oświęcimiu, fabryki kotłów w Raciborzu. Potem był Rybnik, Rokitnica, Rogoźnik, Huta Mała Panew, Wyszków, Nowa Huta, Skawin, Wierzbica, Rejowiec, Chełm, Puławy.

— Ja już wielkich budów mam dosyć. Tym bardziej, że się ożeniłem. Muszę prowadzić dwa domy: jeden w hotelu robotniczym, drugi w Dąbrówce Warszawskiej w Kieleckiem. To wydatek zbyt duży. Myślę osiąść w Puławach. Dadzą mieszkanie — zostanę. Nie — będę szukał miejsca gdzie indziej. Znajdę!

Jacy są?

Jacy są? Natrętne i prymitywne pytanie. Po zarobkach sądząc — „kominiarze". Jeśli ktoś zechce oceniać po stylu życia, pragnieniach, ambicjach na pewno okażą się inni niż się o nich sądzi. To nie są ludzie — jak zwykle się ich taksuje — od zapijania się do nieprzytomności, od hulanek, trwonienia pieniędzy, łatwych uciech.

Te fałszywe i uproszczone opinie wciąż pokutują, choć wyznawców takiego stylu życia jest wśród montażystów niewielu. Olbrzymia większość to normalni robotnicy. Normalni na tyle, na ile pozwalają warunki. Są to przecież marynarze lądów. Ludzie stałych wędrówek. Cyganie, na domiar złego, samotni, najczęściej bez żon i rodzin. Ludzie, których praca zmienia oblicze kraju, choć oni sami mniej się przy tym zmieniają: w stopniu bardzo nieznacznym czerpią z dorobku kulturalnego. Czy wolno się z tym pogodzić? Czy wolno uznać to za naturalne?

Reporter stawia znaki zapytania. Życie powinno dać odpowiedź przeczącą. W imię słów Mariana Brachy, który ostatnią książkę czytał dziewięć lat temu.

„Kameny"

R. DZIEKAN: — To prawda, ale pokażcie mi jeden odcinek życia wolny od kłopotów i trudności?

Rzecz jednak nie w trudnościach, a w sposobie ich przezwyciężania. W naszym przypadku sprawy te nie są bynajmniej łatwe — to fakt. Jak wiadomo, nie mamy jeszcze we wszystkich powiatach ani powiatowych ani zakładowych domów kultury, placówek predysponowanych do niesienia pomocy wiejskim placówkom życia kulturalno-oświatowego. W tej sytuacji szczególną troską otaczać będziemy już istniejące i tworzyć, w powiatach nie posiadających domów kultury, nowe poradnie pracy kulturalno-oświatowej. Realizacja tych zamierzeń wymaga rozsądnej polityki kadrowej i etatowej. Poza tym proszę nie zapominać, że mamy w Kielcach Wojewódzki Dom Kultury. Musi on nasilić swą działalność instruktażowo-metodyczną, rozwinąć akcję szkoleniową, objąć nią pracowników kultury i powiatowych poradni, instruktorów wszelkich kół zainteresowań i społeczny aktyw kulturalny.

KAMENA: — Mówiliśmy dotychczas, jeśli tak rzec można, o planach dalekosiężnej działalności kulturalno-oświatowej. Co przedsięwzięliście jednak na okres najbliższy?

R. DZIEKAN: — Oczywiście kontynuować będziemy tego typu imprezy, które zdobyły sobie prawo obywatelstwa i cieszą się uznaniem społeczeństwa. Mam na myśli imprezy z wieloletnią tradycją: konkurs recytatorski, festiwal teatrów poezji, okresowy przegląd dorobku społecznych ognisk artystycznych, Dni Oświaty, Książki i Prasy, Świętokrzyskie Dni Kultury, których inicjatorem jest ZMS, konkurs pod nazwą „wieś bliżej teatru", — przyczynia się rokrocznie do powstawania nowych klubów i kół miłośników teatru. W przypadku Świętokrzyskich Dni Kultury koordynacja zdawać będzie swój praktyczny egzamin. Wierzymy, że połączone wysiłki różnych instytucji i organizacji wniosą wiele nowych momentów w życie kulturalne naszego regionu. Z nowych — imprezą, po której się wiele spodziewamy, będzie Tydzień Folkloru Polskiego organizowany na przełomie sierpnia i września w powiatach: kieleckim i opoczyńskim. W programie Tygodnia — imprezy przeznaczonej przede wszystkim dla turystów zagranicznych i krajowych — znajdzie się wiele ciekawych imprez folklorystycznych, w tym wystawy i kiermasze sztuki ludowej, jarmarki ludowe z żywym skansenem, pokazy obrzędowych widowisk ludowych w wykonaniu amatorskich zespołów regionalnych.

Przedstawiłem tylko węzłowe i to jeszcze nie wszystkie zagadnienia naszego życia kulturalno-oświatowego. Moglibyśmy mówić jeszcze o wielu bardzo istotnych problemach, ale zdaję sobie sprawę, że przed nami sporo jeszcze miesięcy w roku bieżącym i zapewne znajdziemy jeszcze czas i okazję do rozmowy. Zapraszam.

Rozmawiał: **KAZIMIERZ GURT**

Listy do KAMENY

„Cudzoziemiec w domu?"

Mam syna jedynaka, który również jest studentem i dlatego „Cudzoziemiec w domu" tak bardzo mnie zainteresował. Artykuł dałam do przeczytania mężowi, który odłożył pismo i krótko zawyrokował: „Z tego wyrośnie bandyta". Ależ, mój drogi, on ma dopiero siedemnaście lat i na pewno pozuje" — odpowiedziałam. „W takim razie jest to najczystszej wody romantyk" i dalej nie chciał na ten temat rozmawiać. Ja natomiast nie mogłam poradzić sobie z tym problemem: jeśli ten młody chłopiec jest naprawdę oschły w stosunku do swoich najbliższych, nie ceni dorobku kultury poprzednich pokoleń, nie uznaje wielkich dóbr humanistyki, a tylko zapatrzony jest z zachwytem w sputniki i technikę, to coś tu szwankuje w jego wychowaniu.

Może matka jego lub ojciec nieumiejętnie pouczali w domu popełniając bezwiednie jakiś kardynalny błąd w stosunku do swojego dziecka. A może szkoła zrobiła mu krzywdę, odzierając go ze wszystkich uroków humanistyki? Swoją drogą jest to chłopiec bezkrytyczny, bo czyż może inteligentny student nie zdawać sobie sprawy, że sputniki i cała wspaniała technika jest wynikiem pracy wielu pokoleń, że humanistyka to teatr, kino, książka i sztuka? Jak sobie wyobraża taki młodzieniec życie w kraju, gdzie nie ma intelektu, uczucia, sztuki, gdzie wszechwładnie panuje jedynie mózg elektronowy i inne maszyny chociażby najbardziej doskonałe?...

MARIA SŁOWIKOWSKA
Bychawa woj. Lublin

„Hamulec oświaty"

Komitet Frontu Jedności Narodu w Sitańcu postanowił zbierać dane o Sitańcu. Byłabym bardzo wdzięczna redakcji za dostarczenie odpisu artykułu „Hamulec oświaty", wydrukowanego w piśmie „Siewba", a przedrukowanego chyba w roku 1905 lub 1906 na pierwszej stronie „Kuriera Lubelskiego". Artykuł był podpisany: „Włościanka z Sitańca", którą jestem ja.

MAŁGORZATA SZPRINGEROWA

Od redakcji:

Przystąpiliśmy do poszukiwań artykułu. Jeśli go odnajdziemy — prześlemy Pani.

JAN JANTAR

Szlem nie do wygrania

(Dokończenie ze str. 1)

Dlaczego z 1937 r.? Politycy zachodnioniemieccy tłumaczą, że są to granice bez hitlerowskich aneksji i podbojów, a więc *„najbardziej sprawiedliwe"*. A przecież te *„sprawiedliwe"* granice były w okresie międzywojennym *„nie do zniesienia"* dla Niemiec. Przecież przeciwko tym granicom podburzało się tam przez całe lata opinię publiczną. Na fali niezadowolenia z Traktatu Wersalskiego doszedł do władzy Hitler, niezadowolenie to posłużyło mu do usprawiedliwienia całej II wojny światowej. *„Kiedy mieliśmy te granice* — pisał niedawno prof. Golo Mann — *podnosiliśmy wielki wrzask. Teraz, kiedy przegraliśmy je, chcielibyśmy te granice odzyskać"* [2]).

Czy naprawdę o t e granice chodzi?

Rozszerzając sens uchwał konferencji londyńskiej i przyjmując, że w ramach formuły o odłożeniu ostatecznego ustalenia granic Niemiec do zawarcia traktatu pokojowego mieści się uznanie „granic Niemiec z 1937 r." Niemcy zachodnie — mówiąc językiem bridżystów — rozpoczęły określoną licytację. Pokazały kolor, chcąc rozegrać wielkiego rewizjonistycznego szlema. Rzecz w tym, że żaden z partnerów niedawnej konferencji nie wszedł do licytacji. *„Interpretacja ta n i g d y nie została potwierdzona przez mocarstwa zachodnie, które w żadnym oświadczeniu nie wyraziły uznania dla granic Niemiec z 1937 r. jako nadal obowiązujących"* [3]). To zmusiło Bonn do określonej polityki, do manifestowania swego rzekomego umiaru i wstrzemięźliwości.

Zresztą rząd boński nigdy nie wysuwał zbyt natarczywie na plan pierwszy sprawy granic, nigdy nie był na tyle krótkowzroczny, aby krępować sobie ręce i podejmować jakieś zobowiązania co do zakresu swojego granicznego programu. Stanowisko w sprawie granic z 1937 r. posiadało i posiada ściśle określoną, strategiczną rolę. Ma ono u t o r o w a ć niemieckim pretensjom terytorialnym drogę dla prawnego punktu wyjścia. Ma doprowadzić do międzynarodowej zgody na samą rewizję obecnej granicy, do stworzenia p o d s t a w y p r a w n e j takiej rewizji. Czyli nie chodzi o zasięg, chodzi o samą zasadę. Jeśli się ją uzyska, wtedy się zobaczy, jakie granice będą potrzebne. Te z 1937 r., czy te z 1914...

Ta rewizjonistyczna logika formuje całą bieżącą politykę rządu bońskiego. Kiedy minister Seebohm stwierdził, że układ monachijski nadal obowiązuje, Erhard zdystansował się od niego i oświadczył, że Niemcy zachodnie nie wysuwają roszczeń pod adresem Czechosłowacji. Kiedy jednak ten sam Erhard przyjął przedstawicieli ziomkostwa „Niemców Sudeckich", wtedy potwierdził ich „prawo do stron ojczystych" i „prawo do samostanowienia".

„Upatrują platformę"

Ta taktyka znajduje najlepsze odbicie w polityce organizacji przesiedleńczych. Z jednej strony zaciekle i bezwzględnie atakują one każdy głos padający w NRF za uznaniem obecnych granic niemieckich, z drugiej strony natomiast zachowują milczenie na temat zakresu swych terytorialnych roszczeń. Występują przeciw granicy na Odrze i Nysie, przeciw zachodniej granicy Czechosłowacji i przeciw północnej granicy Włoch, ale rzadko wypowiadają się, jak ich zdaniem te granice powinny wyglądać.

Owszem, zdarzają się wypadki, że co niecierpliwszy führerek jakiegoś ziomkostwa zapowie swój powrót nad Wisłę, lub wyrwie się z deklaracją przygotowaną na „lepsze czasy", w całości jednak przywódcy ziomkostw nie wypowiadają się w sprawie przebiegu przyszłych granic.

Nie świadczy to o braku takiego programu. Nie świadczy to także o poparciu bońskiej tezy w sprawie granicy z 1937 r., najbardziej przecież znienawidzonej przez klientelę tych organizacji. Chodzi także po prostu o taktykę, o sposób postępowania dostosowany do wymogów chwili.

Wskazuje na to analiza całej działalności organizacji przesiedleńczych. Potwierdzenie tego wyszło z samego obozu przesiedleńców.

Na przełomie 1961/62 r. jeden z wybitniejszych działaczy rewizjonistycznych, Axel de Vries opracował dla potrzeb bońskiego ministerstwa spraw zagranicznych obszerny memoriał w sprawie działalności organizacji przesiedleńczych w NRF [4]). Traf chciał, że fotokopia oryginału tego dokumentu wraz z odręcznymi poprawkami autora wpadła w polskie ręce i mogła wreszcie ujrzeć światło dzienne. Wśród problemów poruszonych przez de Vriesa znalazła się również sprawa rewizjonistycznej taktyki w odniesieniu do granic niemieckich.

Rząd zachodnioniemiecki rości sobie prawo do granicy z 1937 r. — wyjaśnia de Vries. — Gdyby organizacje przesiedleńcze poparły to stanowisko, mogło by dojść *„do szeregu kontrowersji i nieporozumień wśród samych przesiedleńców"*.

Dlaczego?

„W skład np. ziomkostwa „Prus Zachodnich" wchodzą ludzie, których część mieszka na terenach przyznanych przez Traktat Wersalski Polsce. Równocześnie są wśród jego członków ludzie z terenów, które w 1937 r. należały bezspornie do Rzeszy Niemieckiej. Tym tłumaczy się, że ziomkostwo „Prus Zachodnich" wielokrotnie zgłaszało żądanie, aby rząd federalny i organizacje przesiedleńcze, już choćby w interesie jedności ziem ojczystych zachodnich Prusaków, uwzględnili żądania terytorialne wychodzące poza granice 1937 r. To samo dotyczy w pewnym sensie również obszaru Kłajpedy, czyli również ziomkostwa „Prusy Wschodnie". Nie wolno wreszcie pomijać faktu, że Sudety w 1937 r. nie były jeszcze objęte granicami Niemiec, jednak z drugiej strony zostały w swoim czasie na mocy absolutnie wiążących układów międzynarodowych, przyłączone do Rzeszy Niemieckiej".

A przecież autor memoriału nie mówi jeszcze całej prawdy. Wśród organizacji przesiedleńczych są ziomkostwa nie tylko „z terenów przyznanych przez Traktat Wersalski Polsce". Istnieją w NRF ziomkostwa Niemców z **Litwy**, z **Węgier** i **Rosji**, ziomkostwa Szwabów **Banackich**, Sasów **Siedmiogrodzkich** i Niemców z **Jugosławii**, istnieje i działa Związek **Gdańszczan**. Czy te organizacje nie mają nic do powiedzenia na temat granic?

Mają i to bardzo wiele. Na razie jednak ograniczają się do podnoszenia hasła o *„prawie do stron ojczystych"*. Na temat granic jednak milczą, bowiem, jak informuje de Vries bońskie ministerstwo spraw zagranicznych, *„przeciwko zbyt drobiazgowemu rozpatrywaniu granic w ramach polityki ojczyźnianej ziomkostw i nadawaniu temu zbyt dużej wagi przemawiają bardzo zasadnicze względy..."* De Vries ich nie ukrywa. *„Problem granic to nie sprawa zasady, ale zagadnienie realnej polityki, zagadnienie stosunku sił w określonym momencie..."*

Słowem, za wcześnie na razie na rewizjonistyczny program graniczny. Niech rząd boński toruje drogę, niech walczy o program minimum, o zasadę prawną. W żądaniu granic z 1937 r. ziomkostwa *„upatrują platformę, w oparciu o którą budują swoją pozycję polityczno-ojczyźnianą"*, s w o j e żądania, s w o j e granice.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, jakie to mają być granice. Wskazują na to nazwy poszczególnych ziomkostw, hołubionych i finansowanych przez rząd zachodnioniemiecki. Wskazuje na to działalność tych organizacji i instytucji, których zadaniem jest torowanie drogi dla pełnego programu żądań rewizjonistycznych.

Niedawno prasa duńska poinformowała o skandalicznym wypadku. Oto wydawnictwa NRF zawiadomiły swoich duńskich dostawców, że będą od nich importować tylko te książki, mapy i globusy, które oznaczać będą granice Niemiec z roku... 1939. Podobnych faktów można przytoczyć więcej.

Organizacją, która wyróżnia się w walce o *„jedynie słuszne, prawnie umotywowane, sprawiedliwe"* granice dla tych mitycznych, przyszłych Niemiec jest AKON. Pełna nazwa tej organizacji brzmi: *„Akcja Odra-Nysa — ruch ludowy w Niemczech przeciwko rezygnacji z niemieckich terenów wschodnich."* Założona w 1962 r. AKON wyznaje krótki i węzłowaty program: *„Żądania granic z roku 1937, któremu hołdują wschodnioniemieckie ziomkostwa i które dla Bonn jest żądaniem fundamentalnym, AKON oczywiście nie akceptuje. Granice z 1937 r. są sprzeczne z prawem do samostanowienia..."* [5]) A jakie, zdaniem AKON, granice są zgodne z tym prawem?

Marzenia...

Leży przede mną ulotka, (reprodukujemy ją na 1 stronie „Kameny") jaką od kilku tygodni AKON rozpowszechnia w Niemczech zachodnich i wręcza akredytowanym w Bonn dziennikarzom zagranicznym. Strzałki wskazują *granice „ustanowione wbrew prawu"*, zaciemnione obszary oznaczają ziemie, które „powinny wrócić do Niemiec". Są to **„Prusy Wschodnie"**, **„Danzig"**, **„Prusy Zachodnie"**, **„Pomorze"**, **„Wschodnia Brandenburgia"**, **„Kłajpeda"**, **„Śląsk"**, **„Sudety"** i **Południowy Tyrol"**. Pretensja pod adresem 4 państw nie licząc NRD i Austrii, zawsze uwzględnianych w rewizjonistycznych bilansach.

Czy AKON różni się czymś od rządu bońskiego? Oczywiście, różnica jest zasadnicza.

„Można zrozumieć — pisała „Soldaten-Zeitung" — *kiedy nasze koła państwowe z jakichkolwiek względów nie odważają się w obecnej chwili żądać tego, co nam się prawnie należy. Ale AKON nie jest urzędem i AKON chce zrealizowania naszego prawa"*.

AKON nie jest urzędem...

* * *

Stosunek oficjalnych kół NRF i rewizjonistycznych organizacji do południowo-wschodnich granic niemieckich jest taki sam: negacja bez żadnej dyskusji.

Podobnie zgodny jest ich stosunek w sprawie roszczeń terytorialnych: jeśli nadejdzie okazja, zagarnąć jak najwięcej. Obecnie jednak wysuwa się różne programy. Decyduje o tym taktyka, podział ról między rząd, a utrzymywane przez niego i przez niego popierane organizacje rewizjonistyczne.

Jak w kiepskim przedstawieniu gra jest zbyt przejrzysta. Politycy bońscy i przywódcy przesiedleńców łudzą się, że nadejdzie okazja do otwartego sformułowania granicznego programu, że zmieni się obecny stosunek sił, że przyjdzie czas na nowy rachunek. Proces jednak odbywa się w odwrotnym kierunku. Wszystko przemawia przeciwko bońskim aktorom. Z dnia na dzień pogłębia się proces izolacji ruchu rewizjonistycznego, z dnia na dzień pęka w szwach bońska polityka odwetu.

Można bez przesady powiedzieć, że cały świat uznaje obecne granice niemieckie. Przekonanie o niezmienności tych granic zaczyna torować sobie także drogę do świadomości samych obywateli NRF.

1) B. Wiewióra. Współczesna polityka wschodnia Niemieckiej Republiki Federalnej. Biuletyn ZAP nr 18-P, 1962, str. 11.
2) Golo Mann. Zawrzeć pokój z Polską. Der Stern, 12.VI.1964 r.
3) B. Wiewióra. jw.
4) Axel de Vries. Memoriał w sprawie działalności organizacji przesiedleńczych w NRF. Tłumaczenie z oryginału niemieckiego. ZAP. Warszawa 1964.
5) W. Pleyer. Deutsche National-Zeitung und Soldaten-Zeitung. 18.X.1962 r.

WIESŁAW KAZANECKI

?

Co zrobisz kiedy każą ci płonąć
i nazwą się bohaterem
i nazwą ciebie pochodnią
która rozjaśnia

Co zrobisz kiedy podpalą ziemię
i wszystko będzie
tak jasne, że się przerazisz
mroku własnego ciała.

BOGDAN PASTERNAK

Walka

Jest w nas coś z morza
wiatr rzuca o brzegi
albo niesie łagodnie
w cichą nieskończoność
Jesteśmy przedmiotami
przyległymi do fali
uderzeniami
wygładzono nam rogatą młodość
To jest walka
o szczęśliwy dzień odpływu.

STEFAN WOLSKI

Liryka... liryka

I.

O,
kwiaty...
Ten złocisty rozpuścił warkocze.
Mówię do niego poruszeniem
palców,
serce się składa do sztychu,
aż wytryśnie...
To było dawno,
dalej niż piętnastolecie
za smugą zaoczną życia,
za borem lat.
Kwiat ten,
zwarzony teraz i siwy,
niczym spojrzenie w zmierzch,
jak gdyby nic nie było
ponad to...

II.

A tamten,
nie drugi, nie następny:
inny...
Miał ciemną czuprynę
i patrzył ciemnym miodem
wprost
w smak.
A może to nie kwiat,
może owoc...
Bo kwiaty rosną przy ziemi,
a owoc...
Nie wiem.
Czyż można wiedzieć?
Wie ptak
i wiatr,
nawet wiatraczek na dachu,
tylko nie my...
nabici wiedzy trotylem,
porażeni strachem,
przyziemni
o wybuch.
Tamten kwiat
był chyba najdroższy:
kwiat
nie kwiat...

III.

A ty,
ty jesteś róża, królowa,
i obietnica,
albo głos nadchodzący
z ciemności jutra.
Bo jutro jest zawsze zakryte.
Może śmiech...
a może śmierć...
Ale do ciebie mówię,
ciebie wdycham i widzę
o jedno objęcie dalej
o jedno westchnienie drożej,
o cały świat lepiej.
lecz kiedy wyciągnę rękę...
Ba,
kiedy otworzę dłoń rzeczy,
czy klucz ciepłego słowa,
albo źródło,
jak źródło Aretuzy,
co ujrzę,
co usłyszę,
czym będę oddychał,
starty na pieśń
między żarnami wzruszeń?...

IV.

O,
moje kwiaty piękne,
leżące na łące niedoli
opodal szyderstwa mijania,
na polu życia,
więc smutku.
Nad wami nachylam myśli
z zeschłych szelestów,
i was dobywam,
kwiaty,
i poję rosą,
i poję...
Albo gotykiem serca
i lotem
do natchnień galaktyk,
przez słońce biegnę.
Bowiem my
nie jesteśmy śmiertelni.

artykuł dyskusyjny

„Medice, cura te ipsum..." Fot. A. Polakowski

HALINA CHABROS

Teatrowi może pomóc tylko teatr

W LISTOPADOWEJ „Polityce" w artykule „Codziennie premiera" Andrzej Hausbrandt analizując frekwencję widzów i repertuar teatrów w okresie XX-lecia doszedł do wniosku, że nasze teatry przechodziły w tym czasie dwa „wyże" frekwencji, pokrywające się niemal bezbłędnie z liczbą przedstawień, a mianowicie w latach 1945—55 i 1960—61. Pomiędzy tymi dwoma „wyżami" zarysował się wyraźny niż, przypadający na rok 1956—1957. Był to okres poważnego kryzysu teatralnego, który przełamał się w roku 1958, by znowu zarysować się z całą ostrością w roku 1963. Ostatnie dwa lata cechuje więc, nie tylko w naszym teatrze, wyraźna ucieczka widza od teatru. To samo zjawisko obserwuje się zresztą obecnie również w kinach.

Autor artykułu, zastanawiając się głęboko nad przyczynami tych niżów, dochodzi do wniosku, że w latach 1956—57 było ich wiele i były one bardzo różnorodne, począwszy od rezygnacji z polityki masowego „upowszechniania", której wyrazem było zlikwidowanie w wielu instytucjach pracowników k.o. i przerzucenie funduszów przewidzianych na cele kulturalno-oświatowe na potrzeby bytowe pracowników, poprzez pojawienie się na rynku atrakcyjnych artykułów masowego zapotrzebowania, które sprawiły, że wielu ludzi zamiast wydawać pieniądze na teatr wolało odkładać je na meble, motocykl, czy radioaparat, a skończywszy na pogoni teatrów za repertuarem nowinkarskim, która cechowała ten okres repertuarowy. Jak się okazało, szerokie otwarcie naszych scen dla repertuaru zachodniego w latach 1956—57 nie tylko nie spowodowało przypływu widzów, ale wręcz przeciwnie — nowinkarski repertuar którym wtedy karmiono publiczność, stanowił jeden z poważnych czynników zniechęcających do teatru nawet widza już przyciągniętego i obytego ze sceną.

W tym to okresie dyrektorzy teatrów najchętniej tłumaczyli odpływ widza konkurencją kina, które istotnie w tym czasie, wprowadzając na ekran wiele atrakcyjnych filmów zagranicznych, przeżywało okres prosperity. W tej chwili teatry wchodzą w nowy okres regresji, co wyraźnie ukazuje krzywa frekwencji w ostatnich latach i znowu trzeba zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy.

Andrzej Hausbrandt zadaje kilka pytań teatrowi: *„A może coś tam z repertuarem nie bardzo? Możeśmy przedobrzyli w drugą stronę i ucieczka od ekstrawaganckich rewelacji zawiodła nas w krainę nudy? Chyba na wnioski* — pisze autor artykułu w „Polityce" — *jeszcze za wcześnie, ale jak uczy nas historia teatru, nie szukajmy źródła własnych niepowodzeń zbyt daleko od sceny. I nadziei na poprawę nie pokładajmy w kimkolwiek innym. Teatrowi może pomóc jedynie teatr. Medice, cura te ipsum".*

Pozwoliłam sobie zacytować główną tezę artykułu w „Polityce", ponieważ trzeci już rok sytuacja w lubelskim teatrze wygląda w ten sposób, że źródeł spadku frekwencji oraz wyraźnej ucieczki widza od teatru szuka się wszędzie poza sceną, a nie — wewnątrz teatru. A lata te stanowią ilustrację tego, jak wiele można znaleźć winy w samym teatrze, w jego potknięciach repertuarowych, braku konsekwencji, systematycznym niewykonywaniu zapowiedzianych na początku planów repertuarowych, a także potknięciach inscenizacyjnych.

Zjawiskiem, do którego już niemal przyzwyczailiśmy się w ostatnich dwóch latach, jest ustalanie przez teatr dramatyczny na początku każdego sezonu imponującego, zarówno jeśli chodzi o rodzaj jak i jakość sztuk — planu repertuarowego, który w czasie trwania sezonu ulega tak zasadniczym zmianom jakościowym i ilościowym, że w rezultacie nawet w połowie nie jest wykonany. Albo sezon zaczyna się martwymi miesiącami, w których nie ma na co pójść, a potem jedna sztuka goni drugą (co i tak nie pomaga wykonać planu, a zarazem nie pozwala „wygrać" do końca tych sztuk) albo znów teatr startuje na początku nowego sezonu z kilkoma efektownymi pozycjami, a potem następuje „posucha" repertuarowa i zamiast ambitnych pozycji z ustalonego repertuaru oglądamy sztuki, których przygotowanie miało chyba na celu jedynie nadrobienie planu.

Przypomnijmy dla przykładu choćby plan z okresu: wrzesień 1963 — do końca 1964 roku, który jak pamiętamy, był przedmiotem wielu ożywionych dyskusji. Plan przewidywał wystawienie „Fizyków" Dürrenmatta, „Piątej kolumny" Hemingway'a, „Grzechu" Żeromskiego, „Makbeta" Szekspira, „Ladacznicy z zasadami" Sartre'a „Szachów" i „Partity" Grochowiaka, „Człowieka z karabinem" Pogodina „Czerwonych róż dla mnie". O'Cassey'a „Wesela" Wyspiańskiego, „Kordiana" Słowackiego, sztuki „Duże jasne" Abramowa i Jareckiego oraz jakiejś sztuki współczesnej polskiej i współczesnej sztuki radzieckiej. W sumie czternaście pozycji.

Już wówczas wydawało się, że owa czternastka jest liczbą nierealną, kierownictwo teatru stanowczo jednak twierdziło, że może omylić się w planowaniu najwyżej o dwie pozycje, a dwanaście sztuk w ciągu roku, to jak na jego możliwości nie za wiele.

Pierwsza część planu z wyjątkiem „Ladacznicy" Sartre'a została lepiej lub gorzej (mam tu na myśli fatalną inscenizację „Grzechu" i nie najszczęśliwszego od strony aktorskiej „Makbeta"), zrealizowana. Z drugą natomiast, a właściwie z większą jego częścią, bo obejmującą aż osiem pozycji, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Przyjmujemy, że współczesną sztuką polską było Iredyńskiego „Zejście do piekła", a „Duże jasne" Abramowa zastąpił Mrożek. Dobrze też, że pomyślano o wystawieniu „Ani z Zielonego Wzgórza", na którą tłumnie chodziła młodzież. Ale co dano zamiast „Człowieka z karabinem", jeśli na wystawienie tego wielkiego eposu nie stać było teatru, (wiadome to było zresztą kierownictwu w chwili układania planu), co zastąpiło „Kordiana" z naszego wielkiego repertuaru klasycznego, który ostatnio nieczęsto gości na lubelskiej scenie? Czy może „Zaczarowane koło" miało być tą wielką pozycją? Albo czy „Czerwone róże dla mnie" mógł „wyręczyć" komediowy melodramat „Wojna kobiet", wystawiony przed sezonowym urlopem?

Warto przypomnieć syuację, jaka zaistniała w październiku. Wówczas teatr mógł się poszczycić wykonaniem zaledwie połowy planu. Jubileuszowy listopad uratował sytuację i otrzymaliśmy aż trzy premiery: Mrożka Iredyńskiego i Wyspiańskiego. Była to jednak „szturmowszczyzna" nie najlepsza dla teatru, a tym bardziej dla widzów, którzy oglądali lubelskie „Wesele" z uczuciem pewnego zażenowania.

Rozumiem, że byłoby źle, gdyby teatr trzymał się sztywno planu i w trosce o zgodność z papierkiem rezygnował z wystawienia jakiejś interesującej „nowinki" repertuarowej. Ale nie jest też dobrze, kiedy taki plan zmienia się kilka razy w roku bez szczególnych powodów (bo nie wiem na przykład, czy dwie jednoaktówki Mrożka lepsze są od „Dużego jasnego" Abramowa i Jareckiego, albo od drapieżnej politycznie sztuki Sartre'a „Ladacznica z zasadami" ujętej w poprzednim planie, a do dziś nie zrealizowanej).

Plan został poważnie załamany nie tylko w tej pozycji, ale w wielu innych znacznie cięższego kalibru, takich jak: Słowacki, Pogodin, Szaniawski i O'Cassey. Nie wystawiono nie tylko ani jednej pozycji klasycznej rosyjskiej bądź radzieckiej, ale nawet sztuki współczesnej naszych wschodnich sąsiadów, choć w innych teatrach radzieckie sztuki współczesne goszczą na scenach i cieszą się powodzeniem. Dodajmy, że nasz teatr zamierzał wziąć udział w festiwalu sztuk radzieckich.

W okresie przed 20-leciem Polski Ludowej teatr, zamierzając podjąć wielką ofensywę mającą na celu ponowne zbliżenie widza do teatru, zapowiadał szereg innowacji, m. in. wznowienie działalności „Reduty 61". Scena redutowa miała wystąpić ze „Spotkaniami antycznymi", a na 20-lecie z programem stanowiącym kompilację fragmentów sztuk napisanych w okresie ostatnich 20 lat.

Z tych ambitnych zamierzeń oglądaliśmy na scenie redutowej tylko „Zabawę" Mrożka — wprawdzie ciekawie wystawioną, ale jedyną od wielu miesięcy w tym teatrze małych form.

Zapowiadał też teatr powołanie do życia estrady poetyckiej z kilkoma wieczorami — poezji staropolskiej, romantycznej i poezji 20-lecia. Skończyło się na planach.

Teatr przy stolikach, którego reaktywowanie przyrzekała dyrekcja, dał jedynie występ w „Tip-Topie" (bo chyba prywatnej inicjatywy pary aktorów: Nowickiej i Chrapkiewicza, którzy z chwilą, gdy mieli opracowaną „Grę i rzeczywistość", zostali łaskawie przyjęci pod opiekuńcze skrzydła teatru i już pod jego auspicjami objechali wiele miejscowości Lubelszczyzny i obeszli wiele klubów lubelskich, nie można w pełni zapisać na dobro kierownictwa artystycznego teatru).

Nie wyszedł też teatr z szeroką inicjatywą zbliżenia do widza. Wykonywanie normalnych planów objazdu trudno uznać za jakąś szczególną formę upowszechnienia, a spotkania, organizowane przeważnie w Lublinie, nie mogły automatycznie spełnić tego pięknego postulatu z tej choćby racji, że uczestnicy spotkań niejednokrotnie nie wiedzieli nawet, o czym mają rozmawiać z aktorami, nie byli bowiem nigdy w teatrze.

Omówiłam tak szeroko potknięcia i niedomogi ostatniego roku, są one bowiem szczególnie symptomatyczne dla teatru im. Osterwy, który po każdym artykule krytycznym zapowiada dziesiątki pożytecznych inicjatyw, a potem ich nie realizuje. Jest to tym smutniejsze, że rok miniony, rok 20-lecia i Rok Ziemi Lubelskiej, wymagał od wszystkich placówek kulturalnych szczególnej inicjatywy, inwencji i starań.

Dlatego też z dużą rezerwą odnosiłam się do nowego planu repertuarowego na okres: jesień 1964 i cały rok 1965. Znowu mamy tu dwanaście pozycji na dużej scenie i pięć na scenie redutowej. Kierownictwo teatru zapomniało o projektach z wiosny br., a więc inicjatywie estrady poetyckiej, „wieczorów" antycznych, teatrze przy stolikach, nie uwzględniając ich w planie.

Nie minęło kilka miesięcy, a z planem zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Zrezygnowano z adaptacji Hemingway'owskiego „Komu bije dzwon", bo podobno adaptacja ta jest zła. Widziałam ten spektakl na Wybrzeżu i byłam nim zachwycona. Jerzy Goliński dzięki niemu zyskał rozgłos, a tamtejszy teatr aplauz całej krytyki stołecznej.

Na szczęście, na skutek interwencji Min. Kultury, wyeliminowano z repertuaru adaptację — świetnej zresztą w sensie jej drapieżności społeczno-obyczajowej, ale trudnej do przeniesienia na scenę — powieści Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy", bowiem już film dowiódł, jak z tej kapitalnej powieści można zrobić nieudolną komedio-farsę. Zrezygnowano również — po kilku spektaklach w Warszawie — z wystawienia sztuki Falkowskiej „Gorący uczynek", przy której teatr, układając plan repertuarowy, tak się upierał, jakby chodziło o arcydzieło, a nie farsę na ograny temat „trójkąta małżeńskiego". Ale zamiast naprawić te potknięcia w planie repertuarowym wystawieniem którejś z polskich sztuk współczesnych, w których premiery obfitowała stolica i inne ośrodki, teatr postanowił pokazać widzom „Damę Kameliową". Ponoć spektakl ten ma „za-

(Dokończenie na str. 11)

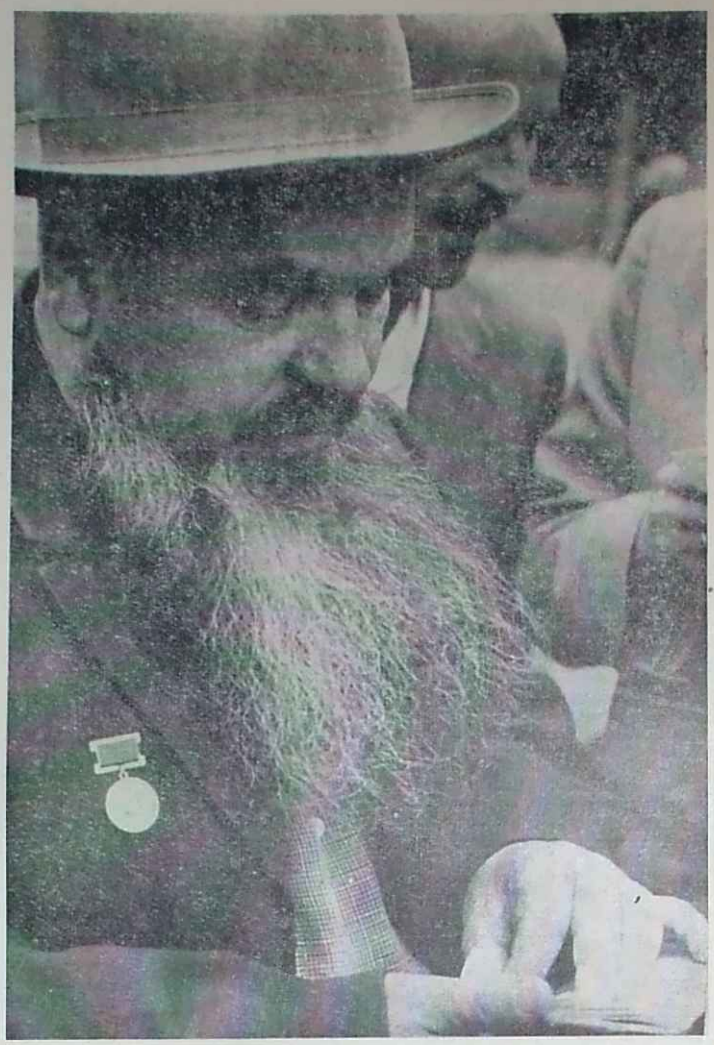

Fot. M. Kopeć

WERSZYHORA

WITOLD SZYMCZYK

TELEFONY w siedzibach żandarmerii, gestapo i komendantur wojskowych przynosiły coraz bardziej niepomyślne meldunki:

— Stacja kolejowa Horyniec opanowana przez zbrojne elementy bandyckie. Zniszczeniu uległy urządzenia stacyjne, a tor kolejowy, którym jechał właśnie pociąg na front wschodni, wysadzono w powietrze!

— W okolicach Lubaczowa i Cieszanowa pojawiły się duże oddziały regularnych wojsk rosyjskich!

— Nieprzyjacielska grupa dywersyjna zaatakowała posterunek wojskowy w Lublińcu Nowym. Zamieniony w bunkier murowany budynek zniszczono ogniem artyleryjskim z bliskiej odległości.

— Miny zakładane przez rosyjskich partyzantów przerwały połączenia kolejowe na liniach: Rawa Ruska — Zamość, Rawa Ruska — Jarosław, Rozwadów — Przeworsk, Jarosław — Lwów...

Wieści takie i rozpaczliwe wołania o pomoc biegły nie tylko do Lublina i Rzeszowa, ale również na Wawel, czyli Krakauer Burg, gdzie rezydował generalny gubernator, Hans Frank. Gazeta „Krakauer Zeitung" biła na alarm, pisząc, że *„wielkie bandy liczące do 15 000 ludzi przekroczyły Bug i posuwają się w głąb GG"*. Postawiono na nogi cały aparat policyjny, gestapo, SS a także sztaby wojskowe. „Partisanen Kowpakow" już nie raz dali się we znaki hitlerowcom i ich pojawienie się w granicach GG, czyli Generalnego Gubernatorstwa, nie wróżyło okupantowi nic dobrego.

Fama o Kowpakowcach rozniosła się także wśród ludności polskiej — od wsi do wsi. *„Szli przez Tarnogród od 8 wieczór do 12 w południe bez przerwy* — pisał jeden z dowódców BCh w raporcie do swych władz zwierzchnich — *Żołnierz uzbrojony prima. Każdy ma 10-strzałowy karabin maszynowy, a co piąty rkm. Jadą na wozach. Chcą zniszczyć Stalową Wolę!"*

Mówi Werszyhora

15 000 ludzi... szli przez 16 godzin bez przerwy... Czy tak rzeczywiście było? Czy zgrupowanie istotnie dysponowało taką siłą?

Z pytaniem tym zwróciłem się do jego dowódcy gen. Petro Werszyhory, kiedy — tuż przed swoją śmiercią — przebywał w Polsce.

— *W chwili przekroczenia granicy* — odpowiedział — *nie miałem więcej niż 1 200 partyzantów. Liczba ta wzrosła później po powrocie wysłanej na dywersję w rejon Brodów grupy Brajki oraz po przyłączeniu się do nas licznych oddziałów partyzanckich i grup uciekinierów z obozów hitlerowskich, ale nigdy nie przekraczała 3 000 ludzi. Uzbrojenie mieliśmy nie najgorsze: 2 działa 76 mm, 9 działek panc. kalibru 45 mm, 18 moździerzy, 42 rusznice przeciwpancerne, około 200 karabinów maszynowych. Było w zgrupowaniu 11 radiostacji tak, że kiedy zachodziła potrzeba utrzymywaliśmy łączność nawet między batalionami. A że wielu ludziom wszystko troiło się w oczach — to już zasługa różnych niewinnych sztuczek jakie stosowaliśmy.*

Jedną z nich były demonstracyjne przemarsze przez miejscowości. Polegało to na tym, że kiedy np. środek kolumny maszerował przez jakieś osiedle, oddziały czołowe, które przeszły wcześniej, okrążały je z daleka i dołączywszy do straży tylnych ponownie przechodziły jego ulicami. Potrafiliśmy taką „defiladę" powtarzać nawet trzykrotnie, zmieniając zaprzęgi u dział, a nawet wierzchowce pod jeźdźcami. Takie sztuczki oraz duża ruchliwość w operowaniu na rozległym terenie (nasze grupy dokonywały akcji jednocześnie w wielu odległych od siebie miejscach) sprawiały, że hitlerowscy agenci i komendanci posterunków wyolbrzymiali nasze siły, siejąc panikę i popłoch. Z drugiej zaś strony w serca ludności polskiej wlewała się otucha i nadzieja".

* * *

Granicę przekroczyli 11 lutego 1944 roku w powiecie lubaczowskim. Ich pierwszym miejscem postoju była wieś Brusno. Zanim tu przyszli, przewędrowali olbrzymie przestrzenie Kraju Rad — od briańskich lasów do pińskich błot, od Żytomierza do Karpat. Oficjalna nazwa jednostki brzmiała: Zgrupowanie Partyzanckie Obwodu Sumskiego, ludność jednak mówiła na nich „Kowpakowcy" od nazwiska ich pierwszego dowódcy, dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego, Sydora Kowpaka. Tak też nazywano ich na naszym terenie, choć leczącego się z ran Kowpaka z nimi nie było. Nowy dowódca, Werszyhora, nie spieszył się zresztą z wyjaśnieniem tego komukolwiek, gdyż sam dźwięk słowa „Kowpak" działał na Niemców paraliżująco. Już w Polsce 23 lutego zgrupowanie otrzymało nazwę 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej i numer jednostki wojskowej.

Czyżby front?

Pierwsza strzelanina na terenie Polski przytrafiła im się w Lublińcu. Tędy właśnie wypadła droga, kiedy po całodniowym odpoczynku w Bruśnie wyruszyli wieczorem na północo-zachód celem dotarcia do skraju Puszczy Różanieckiej. Po drodze oddział Bakradzego zajął Cieszanów, rozbijając posterunek policji oraz zdobywając pokaźne zasoby pieniędzy i żywności.

W Lublińcu stawia im opór niewielka grupa żołnierzy z ochrony gorzelni zabarykadowana w murowanym budynku. Nie chcąc opóźniać marszu, dowódca zwiadu, Robert Klein, podchodzi pod budynek i najczystszą niemczyzną obiecuje żołnierzom Wehrmachtu życie i pozostawienie ich w spokoju jeżeli zaprzestaną ognia.

Na moment zapadła cisza. Niemcy zastanawiają się. I raptem w tej ciszy obok Kleina eksploduje niemiecki granat ręczny, dziesiątkami blaszanych odłamków raniąc go w twarz i piersi. Strzelanina zrywa się na nowo. Nadjeżdża Werszyhora, który wściekły zarówno na hitlerowców jak i na Kleina za to, że poczynał sobie ze zbytnią brawurą, nakazuje zatoczyć działa. Kilka strzałów siedemdziesiątek szóstek zamienia improwizowany bunkier w ruiny. Żaden z obrońców nie uchodzi z życiem.

Huk dział pod Lublińcem rozległ się echem po okolicy. Zabiły żywiej serca. Czyżby front? Tak blisko?

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

Augustów w zimie

Postanawiam odwiedzić Augustów w zimie, jako motto podróży obrawszy sobie hasło „Augustów dla augustowiaków". Innymi słowy chcę się przekonać, co dzieje się w tej letniskowej miejscowości wówczas, kiedy jest tam tylko około 20 tysięcy stałych mieszkańców, a nie co najmniej dwa razy tyle.

Rozmowa na gorąco

Nie najlepiej trafiłem. Kierownik PDK właśnie wyjechał na urlop a instruktorka PDK, p. C., przez osoby trzecie powiadamia, że nie czuje się na siłach udzielić wywiadu, a nawet porozmawiać o działalności Domu Kultury. Postanawiam dwa kolejne wieczory spędzić w klubie PDK. Oto zanotowane na gorąco fragmenty przeprowadzonych tu rozmów z Danusią, przewodniczącą Zarządu Powiatowego ZMS oraz z Zygfrydem z Zarządu Woj. ZMS.

DANUSIA: Jest u nas około 20 grup ZMS-owskich w szkołach i zakładach pracy. Są większe i mniejsze, lepiej i gorzej działające. W fabryce obuwia, w spółdzielniach i niektórych szkołach średnich, jak np. w Liceum Pedagogicznym, pracują dobrze, mają niemałe osiągnięcia. Dowodem — chociażby ochotnicze hufce pracy i ich efekty ekonomiczne. Ale nie wszystko układa się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. W niektórych wypadkach grupy nie bardzo wiedzą, co mają właściwie robić. Chwytają się różnych, coraz to innych problemów a w takich wypadkach trudno mówić o jakichś wynikach...

ZYGFRYD: — To jest charakterystyczne nie tylko dla Augustowa. Wydaje mi się, że w poprzednim okresie nasza organizacja miała tendencje do eklektyzmu, co zresztą podkreślono na Zjeździe. Teraz będziemy skupiać wysiłki na wybranych konkretnych zagadnieniach, np. jednym z nich jest pomoc młodzieży świeżo zatrudnionej w zakładzie pracy; otoczenie jej opieką fachowców, wytworzenie koleżeńskiej atmosfery, zapoznanie z warsztatem pracy. W wypadku Augustowa będziemy również starali się pomóc miejscowej organizacji w aktywizacji środowiska, bo, jak słychać, niewiele się tu dzieje...

Zwracam się do ZOFII, przysłuchującej się rozmowie, z pytaniem, co robi w chwilach wolnych od zajęć?

— Cóż tu można robić? W zasadzie są dwa uczęszczane lokale: klub, w którym jesteśmy, i „Albatros". W klubie telewizor, czasem jakiś wieczorek taneczny, czasem jakieś spotkanie lub występ estradowy. Ale nie za często. Poza tym dość ciasno. A w „Albatrosie" dancing i... mocniejsze napoje.

Następnie rozmawiam z solistką zespołu estradowego, ANNĄ i jej dwoma kolegami z zespołu. Pytam, czy czytali sztukę Herberta pt. „Lolek". Rzecz bowiem traktuje o Augustowie właśnie posezonowym. Nie, nie czytali. Streszczam więc akcję. Zamordowano chłopaka przy wódce. Jakieś typowo małomiasteczkowe zawiści, jakieś poderwanie dziewczyny, zadawniona złość. Tak, teraz sobie przypominają ten wypadek sprzed kilku lat. Dodają szczegóły. Jeden z rozmówców przypomina o innym jeszcze morderstwie dokonanym później. Ja w rozmowie jednak zmierzam do czego innego. Czy taki wypadek mógłby się zdarzyć teraz, czy atmosfera w mieście sprzyja temu?

ANNA: — Nie. Wydaje mi się, że teraz jest zupełnie inaczej niż wtedy, przed kilkoma laty. Dziś rzadko zdarzają się większe burdy; atmosfera uległa poprawie. Czemu? Może dlatego, że teraz jest się czym zająć, jeśli ktoś chce. Przy PDK mamy na przykład dwa zespoły: estradowy i poetycki. Ze składanką estradową, prócz występów w samym Augustowie, wyjeżdżaliśmy na teren powiatu, a nawet dalej, do Ełku. Teraz pod kierunkiem kierownika PDK, p. Szczerby, przygotowujemy program poetycki na konkurs teatrów poezji.

JUREK: — Nie tylko można działać w takiej formie. Ot choćby w tej chwili: ci grający w szachy przy sąsiednich stolikach, to uczestnicy finału mistrzostw szachowych zorganizowanych przez Powiatowy Komitet Kultury Fizycznej i PDK.

Człowieku, posłuchaj!

Te oto migawki, które zanotowałem w Augustowie, nie stanowią zapewne pełnego obrazu tego środowiska, dają jednak o nim pewne pojęcie. I na tym właściwie można by zakończyć (bo trudno z takich fragmentów wysnuwać wnioski). Ale gwoli rzetelności dziennikarskiej muszę jeszcze streścić ostatnią rozmowę ze znajomym dawno poznanym w Białymstoku, obecnie stałym mieszkańcem Augustowa, plastykiem z zamiłowania, działaczem sportowym.

WŁODEK: — Więc coś ty tu właściwie robił? „Augustów w zimie"?... Aha, posezonowy, dla augustowiaków? Ha, ha, a to dobre. Człowieku, posłuchaj: W schronisku PTTK aktualnie obozuje:

1. grupa turystów francuskich,
2. grupa naukowców ze Szwecji,
3. jutro rozpoczyna się kursokonferencja ZMS zorganizowana przez Zarząd Wojewódzki,
4. za trzy dni rozpoczynają się mistrzostwa Polski juniorów w jeździe szybkiej na lodzie.

Wystarczy? I ty mówisz o „Augustowie dla augustowiaków"?

I JEGO LUDZIE

Od 12 lutego kwaterą Werszyhory staje się wieś Borowiec. Stąd pod dowództwem Lenkina, Kalnickiego, Dorofieja, Serdiuka i innych wyruszają grupy bojowe na akcje, o których mowa na początku tego artykułu. Batalion Kulbaki przepędza hitlerowców z Tarnogrodu i „rządzi" tam przez 3 dni. Do 19 lutego 1944 r. zniszczono 17 mostów oraz przejazdów kolejowych i szosowych, rozbito urządzenia na trzech stacjach, zniszczono wiele transportów wroga. W akcjach tych bierze także udział — wysoko oceniony przez Kowpakowców — polski oddział partyzancki porucznika „Podkowy".

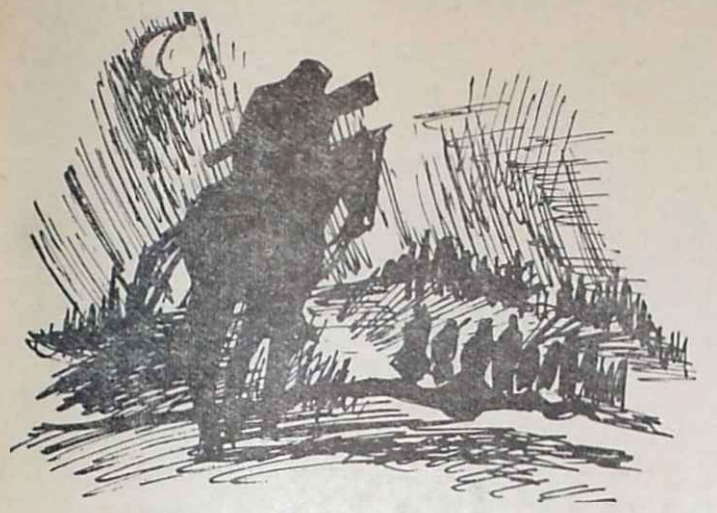

Do Borowca przyjeżdżają na rozmowy dowódcy różnych grup partyzanckich: polskich i radzieckich. Kilka oddziałów radzieckich, m. in. Andreja Borodowoja i „Waśki Gruzina", wchodzi w skład zgrupowania Werszyhory.

Cel: Stalowa Wola

18 lutego 6 hitlerowskich samolotów bombarduje Borowiec, w którym do niedawna stał sztab Werszyhory. Sztab, uprzedzony wcześniej, przeniósł się w inne miejsce, są jednak ofiary wśród miejscowej ludności i kawalerzystów. W nocy z 18 na 19 lutego Werszyhora robi całym zgrupowaniem skok w rejon wsi Ciosmy, Jarocina i Domostawa. Stary partyzancki wyga stara się zbadać możliwości działania za Sanem, gdzie — jak słyszał — rozłożone są jakieś składy amunicyjne, obozy ćwiczebne itp.

Jednym z nich jest Stalowa Wola. Wiadomo, że zakładu produkcyjnego dla potrzeb frontu, silnie chronionego, zdobyć się nie da, ale gdyby i tu posiać zamęt?

W nocy z 21 na 22 lutego idzie nad San grupa złożona z 2 plutonu 4 kompanii i baterii artyleryjskiej oraz oddziału polskiego „Podkowy". Droga prowadzi przez Jarocin, Zdziary do Pysznicy. Niedaleko stąd grupa zajmuje stanowiska bojowe. Z daleka widać budynki elektrowni stalowowolskiej.

— *Ognia!*

Pierwsza salwa jest niecelna.

— *Ognia!*

Tym razem pociski trafiają. 10 minut szybkiej strzelaniny, odblaski wybuchów, widoczne z daleka płomienie. Jak się później okazało, jedna ściana elektrowni runęła, kotłownia i kocioł parowy zostały uszkodzone. Elektrownia zasilająca wielką hutę przerwała pracę.

Następnego dnia oddział Brajko i Cymbała wspólnie z grupą polskich partyzantów zdobywa Ulanów, gdzie likwiduje posterunek obserwacyjno-meldunkowy Luftwaffe. Przedtem jeszcze kompania Łarionowa niszczy w rejonie Domostawy duży tartak pracujący dla fabryk samolotów.

23 lutego zgrupowanie — jak już wspomniałem — otrzymuje nazwę 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej im. Sydora Kowpaka. Dowódcą 1 pułku został Dawid Bakradze, 2 pułku — P. Kulbaka, 3 pułku — Piotr Brajko.

Wróg atakuje

Działania 1 UDP poważnie zaniepokoiły władze Generalnej Guberni oraz sztaby wojskowe. Szczególnie po napadzie ogniowym na Stalową Wolę, skąd wielu Niemców wraz z rodzinami pouciekało do Tarnowa i Krakowa, niepokój ten zaczął wzrastać. Na Zasanie rzucono liczne oddziały wojskowe i policyjne z Lublina, Przemyśla, Łańcuta i innych miejscowości.

Tymczasem Werszyhora nocami przerzuca swych partyzantów na wschód do wsi Ciosmy, a następnie do Kosobud. 26 lutego rozpoczynają się walki z hitlerowskimi ekspedycjami karnymi w rejonie Szewni, Wieprzca i Kosobud. Wróg atakuje piechotą, wspieraną przez czołgi i moździerze. Wszystkie pułki Werszyhory są związane walką. Niemcy ponoszą znaczne straty w ludziach i sprzęcie. W tej sytuacji znów skok — do Rudy Różanieckiej. Tutaj całodzienny postój, zakłócony jedynie przelotem 6-motorowego transportowca Me-323, który, ostrzelany przez kawalerzystów, spada na ziemię pod Suścem.

Hitlerowcy kierują przeciwko 1 UDP nowe siły — oddziały czterech pułków policji i SS, dywizji SS Galizien, pułki azerbejdżańskie i tatarskie, bataliony Organisation Todt, dwie kompanie pułku przeciwpancernego, batalion

(Dokończenie na str. 8)

Z nieznanej korespondencji Brunona Schultza

(Dokończenie ze str. 1)

wiosna z wszystkimi powiewami, blaskami i przeczuciami — dla mnie tylko po to, by mi uświadomić, że jestem już po tamtej stronie wszystkich wiosen". A w następnym liście: *„Co Was, u licha, gnębi, pytacie? Nie umiem na to odpowiedzieć: smutek życia, trwoga przed przyszłością, jakieś przeświadczenie niejasne o żałosnym końcu wszystkiego (...)"* Przeczucie? Niewątpliwie, choć jeszcze osiem lat dzieliło Schultza od sprawdzenia się tych złych myśli.

Taki nastrój i nudna praca nauczyciela robót ręcznych nie sprzyjały pracy literackiej: *„Nic przez całe wakacje nie napisałem* — skarży się w liście z końca sierpnia 1934 r. — *co za strata czasu. A myślałem, że stanę do konkursu na powieść". „Il. Kuriera Codz."* I w dwa tygodnie później: *„Ach, jakby to dobrze było dostać urlop roczny! Jeślibym go dostał, odwiedziłbym Was na pewno w Chełmie. Już tak dawno nie widziałem „ludzi" (...) Życie mogłoby być ładne".* W miesiąc później pisze: *„Diabelnie to trudna sprawa coś z siebie wydobyć. Czasami zdaje się człowiekowi, że ma ogromny materiał i ugina się aż pod ciężarem nałożonej na siebie misji — to znowu ze zdziwieniem konstatuje pustkę u siebie. Są to perypetie zwykłe — przypływy i odpływy, z którymi trzeba sobie jakoś radzić. Trzeba tkwić ciągle w pracy, nie przerywać jej — nie uczyć np. w szkole, — gdyż ten brak ciągłości zabija natchnienie".* W grudniu tegoż roku wyznaje: *„Cały czas nic nie pisałem. Interesuje mnie teraz więcej malarstwo".*

Dwukrotny wyjazd do Warszawy staje się chwilową odtrutką przeciw szarzyźnie życia na prowincji i przygnębiającym nastrojom. Za pierwszej bytności poznaje tam Nałkowską, Tuwima, Wata, Ważyka, Brucza, Gojawiczyńską, za drugiej — w styczniu 1935 r. — Witkacego, Brezę, Wittlina, Czechowicza i Gombrowicza. Lato 1935 r. spędza w Zakopanem, gdzie miał się spotkać z Waśniewskim. W listach poprzedzających te wakacje znajdują się aluzyjne wzmianki (przed Wielkanocą): *„Najchętniej zaprosiłbym Was na święta lub zaraz po świętach, ale muszę wyjechać do pewnej pani, z którą mnie łączą węzły przyjaźni i ona mnie oczekuje"*, a w lipcu przed wyjazdem do Zakopanego już wyraźnie: *„Narzeczoną moją znam już od 3 lat, zbliżyliśmy się przed 2 laty i od czasu do czasu spędzamy po parę tygodni razem, gdyż nie mieszkamy w tym samym miejscu. Oboje jesteśmy biedni, ona jest zredukowaną nauczycielką gimnazjalną i szuka posady (...). Oczekuję Was z radością (...). Będziemy szukali jakiegoś locum poza Zakopanem, w Kościeliskiej, na Cyrhli lub w Jaszczurówce".* A w trzy tygodnie potem pisze z Zakopanego: *„Wbrew oczekiwaniom żyję tu bardzo samotnie. Widuję się tylko niekiedy z Witkiewiczem i krytykiem Płomieńskim (...) Liczę zatem, że 14 lub 15 wyjedziecie, ażebyśmy jeszcze kilka dni mogli tu razem spędzić. Ja nie chodzę w góry — cierpię na zawroty głowy i obawę przestrzeni".*

Ale Zenek trafił w Zakopanem na bardzo niefortunne chwile. W następnym liście, pisanym prawie w dwa lata potem (2.VI.1937), Schultz pisał: *„Drogi, Stary, Poczciwy Przyjacielu! Ile razy myślałem w tym czasie o Was, czułem dotkliwy wyrzut sumienia i wstyd, że tak się wówczas wobec Was zachowałem. Dlaczego tak się stało — sami mnie wytłumaczyliście w Waszym poczciwym liście. Nie byłem wówczas panem moich nerwów, mojego zdenerwowania i mojej rozpaczy. Dlaczego potem milczałem, mimo że przypominaliście się mi przesyłając „Kamenę"? Chyba ze wstydu, uważając mój stosunek do Was za zabagniony i zepsuty. Tymczasem sami w swojej poczciwości odezwaliście się do mnie. Trafiliście znowu na ciężką chwilę u mnie. Jestem właśnie po ostatecznym zerwaniu z narzeczoną. Moja znajomość z nią była pasmem cierpień i ciężkich chwil. W końcu odczuwam to jako ulgę, że zerwała ze mną ostatecznie (...). Mimo że powinienem być zadowolony z tego zerwania — czuję teraz straszliwą pustkę i nicość życia. Nie mogę nic robić, nie mogę żadnej książki wziąć do ręki, bo mnie mdli i nudzi okropnie. Czy przeżywaliście kiedyś coś takiego? Nie poznaję siebie samego. Ja, który zawsze miałem głowę pełną zagadnień, problemów, podniecony zawsze przez różne idee, teraz wlokę się pusty, bezmyślny i ospały i mam uczucie, że to już koniec wszystkiego. Od miesięcy nic już nie piszę, nie jestem w stanie najmniejszego artykułu napisać. Nawet napisanie listu kosztuje mnie ogromnego przezwyciężenia. Nie otrzymuję też już od dawna żadnych listów i sam nie piszę do nikogo. Czuję, że to wszystko nie jest tylko skutkiem moich przeżyć sercowych, ale że wszedłem w jakąś nową fazę życia, której dominantą jest wielkie i zasadnicze rozczarowanie — nicość życia".* W dwa miesiące później skarżył się: *„Byłem przez 4 tygodnie na wsi koło Turki prawie zupełnie samotny. Nie miałem pociechy z tej samotności i pozbyłem się iluzji starej i zakorzenionej, że jestem stworzony do samotności. Może kiedyś byłem, dziś zieje na mnie pustka i martwota z krajobrazu, nie mogę się już pożywić przy stole Pana Boga (...) coś się we mnie popsuło. Czy Wy znajdujecie jeszcze coś w świecie naprawdę pięknego i porywającego, czy zdolni jesteście do entuzjazmu. Mnie się wydaje, że świat stał się nudny".*

Ostatni list z kwietnia 1938 r. był utrzymany w podobnym nastroju: *„... Przesłaliście mi piękny i smutny wiersz, za który serdecznie dziękuję. Z nutą tego wiersza współdźwięczy mój smutek. Jest to nasz wspólny smutek, starzenie się, rozczarowanie nagiego szkieletu prawdy. Czy sądzicie, że można ten smutek uczynić napędem jakiejś twórczości, że można go artystycznie zużytkować, poić własną klęską demona twórczości? Ja nie jestem do tego zdolny. Moja muza pragnie pogody i ciepła. Pod jesień życia staje się ospała i leniwa jak muchy w tej porze roku. Z drugiej strony mógłbym powiedzieć, że treściowo staje się bogatym, że materiał rośnie, tylko brak podniety, napędu, pasji by przekuwać w formę. Doszedłem do tego, że jedyną ostoją naszą może być praca, jakakolwiek choćby niżej naszego poziomu, choćby mechaniczna. Inaczej smutek nas pożera".*

Za półtora roku miała wybuchnąć wojna. Trudno wprost sobie wyobrazić, jak ten nieśmiały, mimozowaty, zamykający się w smutku przy każdym drażnięciu życia artysta mógł czuć się, gdy przyszło najstraszniejsze, zaszczuty w okrutnych czasach pogardy.

K. A. Jaworski

*) Zenon Waśniewski — malarz, grafik i poeta, współzałożyciel „Kameny".

Kielce bliżej TV

(Dokończenie ze str. 1)

Lepszego miejsca w naszym regionie, bardzo górzystym, nie mogliśmy znaleźć. Okazało się wkrótce, jak bardzo myliliśmy się. Przytaczano masę argumentów, nazywano projektantów ludźmi, dla których piękno przyrody jest zupełnie obce (cytuję te opinie bardzo oględnie) itp. Papierkowa szermierka pochłonęła masę czasu, nie rezygnowaliśmy jednak z naszego projektu, ponieważ w miarę dyskusji umacnialiśmy się w przekonaniu, że w gruncie rzeczy rozbija się o czyjś zwykły upór. Kiedy wreszcie budowa na Świętym Krzyżu została przez najwyższe władze zatwierdzona, pojawiły się dalsze trudności. Nie mogliśmy na przykład dokopać, to znaczy dowiercić się wody. Woda zresztą na górze jest niezmiernie potrzebna, nie tylko dla TV, ale przede wszystkim dla turystów. Dzisiaj mogę powiedzieć, że wszystkie te kłopoty mamy już szczęśliwie poza sobą.

Na górze cieszy oko piękna żelbetowa konstrukcja ośrodka radiowo-telewizyjnego. Na miejscu mamy już urządzenia nadajnika dostarczone przez producenta (Zakłady „Tesla") wprost na górę. Prace rozpoczną się z nadejściem wiosny a zakończone będą przed końcem roku. W tym też czasie ośrodek przystąpi do normalnej pracy. Moc nadajnika telewizyjnego wynosi 100 kilowatów. Równolegle będzie pracował nadajnik radiowy na falach ultrakrótkich z programem Warszawy II, a więc także z programem lokalnej radiostacji, oraz drugi nadajnik UKF z programem trzecim (program ten na razie w Kielcach jest nieosiągalny). W taki chyba sposób skończą się nasze radiowo-telewizyjne kłopoty. Jest ich zresztą w tej chwili co nie miara: np. w samych Kielcach ludzie oglądają program telewizyjny z Krakowa, Katowic czy Lublina (mowa o przekaźniku w Bożym Darze — red.). Wszystko zależy od tego, w której dzielnicy miasta mieszkają. Amatorski przekaźnik telewizyjny pracujący od lat na Świętym Krzyżu nie wytrzymuje konkurencji z zagranicznymi nadajnikami TV pracującymi w tym samym paśmie częstotliwości...

— To jest jedna sprawa, a druga? Przecież posiadanie przez nasz region stacji nadawczej zapewne umożliwi poruszenie w znacznie szerszym niż dotychczas zakresie kieleckiej problematyki, ukazanie sprawy regionu, ludzi?

— Być może nadzieje takie są przedwczesne, myślę jednak, że telewizja w dalszym ciągu będzie się rozwijała.

Wydaje się, że do tego celu nie od razu potrzebne jest studio telewizyjne, wóz transmisyjny można raz na jakiś czas do nas przysłać. A jest co pokazywać: mamy rolników, których doświadczenia warto spopularyzować, mamy ładnie rozwijający się, kultywujący dobre tradycje, amatorski ruch świetlicowy, mamy doskonałych wiejskich śpiewaków, kapele ludowe. Mamy wreszcie przemysł, o którego osiągnięciach mówi się na razie w telewizji tylko od „wielkiego dzwonu".

Możliwe, że to, o czym mówię, jest zbyt optymistyczne, zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, ale osobiście wierzę w rozwój telewizji. Mam nadzieję, że ten rozwój pójdzie w kierunku ukazywania na szklanym ekranie całego kraju, a więc także Kielecczyzny...

Notował: **Wiesław Barański**

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

Produkcyjny temat i nieproduktywne dylematy

Artykuł L. Krasuckiego „Temat czeka" w ostatnim numerze „Kameny" wywołuje zaskoczenie. Zaskoczenie, że autor w ogóle odważył się postawić problem literatury produkcyjnej i że napisał o nim w sposób tak prosty, bez pseudofilozoficznokrytycznej otoczki. Takie artykuły ciągle są zbyt rzadkie.

Artykuł Krasuckiego budzi też pewne refleksje: zagadnienie nie dotyczy bowiem tylko tematu powieści produkcyjnej, lecz również roli literatury i postawy literatów wobec rzeczywistości, ich pozycji społecznej itd. **Chodzi o to, że na literaturze ciąży z jednej strony tradycja i splendor tzw. przywództwa duchowego, z drugiej — stałe nienadążanie za przemianami, pozostawianie ich ekonomistom.**

W okresie dwudziestolecia żywa była sprawa literatury proletariackiej. Pisał Broniewski, a cytował go Fik w książce „Dwadzieścia lat literatury polskiej": *„Poezja proletariatu jest poezją awangardy, poezją czołowych zastępów proletariatu! Panowanie nad życiem, rozszerzenie go i spotęgowanie do tych granic, które zakreśla geniusz ludzki i ustokrotnione maszyną ramię człowieka — oto cele, ku którym wraz z milionową masą zmierza poezja proletariacka, natchniona logiką czynu sięgających po świat warstw proletariackich".* Dziś cele te zostały osiągnięte, a przy tym „tyrteizm" trąci patetyczną myszką, grozi retoryką. Równocześnie jednak rola kibica i beletryzatora jest zbyt degradująca. Kim tu więc być? Tkwić w żywym nurcie współczesności i dać się ogarnąć przez problemy zakładu produkcyjnego? A może uczyć w miasteczku dzieci? To grozi utratą splendoru, kontaktu z literacką giełdą, to przeszkadza w pisaniu? Nie tkwić, to grozi wyobcowaniem, wyczerpaniem tematów. Być zaangażowanym, pisać na zamówienie społeczne, to może w pewnych kręgach oznaczać sprzeniewierzenie się sztuce, to wywołuje zresztą przykre skojarzenie z tzw. okresu błędów i wypaczeń, więcej — to przypomina niektórym państwowotwórcze dylematy z czasów przedwojennych. Nie pisać, to schodzić na margines życia i przemian. Jak pogodzić twórczą samotność z wtopieniem się w społeczność i jej sprawy? Jak wybrnąć z dyktatu wierności sztuce (ponadczasowej!) przepaściście głębokiej, a zarazem z obowiązku dostarczania czytelnikowi strawnej lektury i sobie dochodu? Jeden z literatów uprzedzał mnie w formie trochę usprawiedliwiającej się i bagatelizującej, że wkrótce ukaże się jego książka; mówi mi o tym, bym się nie zdziwił, ale trzeba było napisać coś na marginesie właściwego pisarstwa, żeby zarobić i móc się poświęcić temu ostatniemu. (Był to taki sobie kryminałek pod publiczkę. Kiedy znów ukazała się jego książka „z własnego nurtu", okazała się pełna kompleksów, zadr, wahań między wyborem postawy i sposobu ujęcia, egocentryzmu).

Jaką przyjąć postawę? Opozycyjną? Niektórzy to lubią, gdyż tym akcentują swoją „niezależność" i znajdują uznanie w kawiarnianych środowiskach o mentalności ślimaka, zamkniętego we własnej skorupie. Afirmującą? Wówczas zaznacza się swą postępowość czy dojrzałość ideologiczną i liczy na oficjalną przychylność. Ale od afirmacji do dobrej książki droga jeszcze daleka.

Lekceważyć tzw. publiczkę, czy jej schlebiać? **Oto circulus vitiosus. Sofizmaty. Dylematy.**

Najlepiej zrobić z tego wszystkiego... mieszankę. Kiedy zapytano pewnego literata, co teraz wydaje, odpowiedział iście po pytyjsku, dwuznacznie: wiadomo, załatwiono odmownie. Z jednej strony rzetelnie informuje indagujących, z drugiej utrwala mit rzekomej nieląski, zniewalając finezyjną błyskotliwością.

Tylko że znów powstają dylematy. Posługiwanie się dwuznacznością, opalizacją znaczeniową, to z jednej strony cecha nowoczesności, z drugiej przestarzałego indyferentyzmu...

Kim tu być? Źródła tego stanu tkwią chyba w dwudziestoleciu. Problemów nie rozwiązanych, gorzej, zepchniętych poza świadomość. Ale coś przecież trzeba robić. Trzeba pisać. Być literatem. Dlatego tak łatwo było podjąć temat produkcyjny i tak łatwo go porzucić. W tej atmosferze łatwo było napisać utwór sławiący Gdynię, a potem dokonać drobnych retuszy, wstawić na miejsce Gdyni Nową Hutę i ponownie opublikować utwór na następną rocznicę. **Bo nie rozwiązany jest problem współczesności literatury. Istnieje obawa przed faux pas między aktualnością, zaangażowaniem w sprawy dnia dzisiejszego i widzeniem obiektywizująco - dystansującym, ujęciem nie dezaktualizującym się dla potomnych.**

Krasucki postuluje rehabilitację tematu produkcyjnego i wskazuje na pozytywy takiej rehabilitacji: pisze m. in.: *„Znaleźlibyśmy tropy, wiodące ku prawdzie o człowieku zaangażowanym. Znaleźlibyśmy pierwsze zapowiedzi wielu późniejszych odkryć formalnych..."*

Wielu literatów jest zbyt zaabsorbowanych swoimi wewnętrznymi dylematami. Nie wystarczy podjąć temat powstawiać trochę realiów, nowinek technicznych. A tak może się skończyć, jeśli nie postawi się wyraźnie — czasem boleśnie — różnych problemów, jeśli nie przemyśli się ich zarówno w indywidualnej samotności, jak w rzeczowej dyskusji publicznej.

Chodzi o przełamanie egocentryzmu, o postawę czujnej obecności, społecznej wrażliwości, o postawę otwartą. Wiele mógłby nas nauczyć Norwid, który natychmiast reagował na aktualne wydarzenia, współczesne zjawiska i który pozostawał równocześnie artystą, umiał pogodzić życie i sztukę. Tu nie chodzi o oportunizm. Zakładamy, że zjawisko to nie istnieje.

Jest jeszcze jeden problem, z którego musimy zdać sobie sprawę. Problem profesjonalizmu. Muzycy, plastycy na ogół zdobywają najpierw wykształcenie w akademiach, konserwatoriach. Rozwijają pod kierunkiem artysty swoje uzdolnienia i... zdobywają zawód. Dla literatów nie istnieją tego typu szkoły. Duża ich część zresztą uprawia jakiś zawód poza literaturą, inni na marginesie pisania mają jakieś uboczne zajęcia. Równocześnie jednak literaci organizacyjno-socjalnie stanowią grupę zawodową. Sami także wykazują tendencje coraz silniejsze, by móc się utrzymać z pisania, a więc do traktowania literatury jako warsztatu zarobkowego. Od czasu do czasu pojawia się pytanie, czy literaci mogą się utrzymywać z wydanych książek, jako miernik ich sytuacji społecznej, jako miernik poziomu kulturalnego społeczeństwa.

Jest w tym wszystkim jakieś pęknięcie, nieskrystalizowana sytuacja, która niewątpliwie rzutuje, obok innych czynników, na pozycję i postawę wielu literatów. Weźmy chociażby jedną

(Dokończenie na str. 11)

Na marginesie Szkoły Wrocławskiej

Leon Podsiadły „Królowa" — rzeźba ceramiczna

Tot. Z. Holuka

NA początku marca przyjechała do Lublina ciekawa, bo charakterystyczna dla pewnych zjawisk sztuki współczesnej, wystawa malarstwa „Szkoły Wrocławskiej".

Przykład jej jeszcze raz przekonuje, że pojęcie „szkoły" skupiającej plastyków na zasadzie wspólnego programu artystycznego, wyraźnie zdefiniowanego, sformułowanego najczęściej przez wybitną i nowatorską indywidualność twórczą — należy już do przeszłości; „Szkoła Wrocławska" przedstawia cały szereg odmiennych, a nawet przeciwstawnych koncepcji, że wymienić wystarczy kolorystyczne w swej genezie malarstwo Gepperta oraz fakturalno-semantyczny „Portret protoplasty" Gołkowskiej, z „nagrobkowym" wizerunkiem wlepionym w rozrastającą się, biologiczną tkankę malarskiej materii. Ta ostatnia tendencja — przekazywania dość przejrzystych treści przy pomocy środków tylko malarskich — stanowi drugą z rzędu cech malarstwa „Szkoły...", chociaż nie można mówić o jej dominancie. (Dodajmy, że przypadek Gołkowskiej wskazuje na pewne relacje ze sztuką Dubuffeta). Gdybyśmy chcieli doszukać się związków łączących twórczość członków „Szkoły..." z malarstwem światowym, nie sprawiłoby to nam większych trudności, co jednak nie obniża wartości wrocławskich obrazów — bardzo indywidualnych — a sugeruje tylko aktualność okresu bilansowania swoich i obcych doświadczeń — okresu stabilizacji lat porewolucyjnych.

Przyjmując taki pogląd na obecną sytuację w sztuce, nie możemy go zbytnio generalizować ze względu na ciekawe (choć nie tak liczne, jak w latach poprzednich) wysiłki zmierzające do określenia malarstwa w l a s n e g o, nie mieszczącego się w konwencjach. Taki właśnie typ obrazowania pokazał Mazurkiewicz — ascetyczny, a zarazem bogaty formalnie, płaski i wieloplanowy jednocześnie, niby zrozumiały, lecz wymykający się w końcu pojęciowej obiektywizacji. Mazurkiewicz robi po prostu malarstwo dobre, indywidualne i sugestywne. A to wystarczająco określa wymiar jego sztuki.

Czy można jednak mówić o jakimś wspólnym dla całej grupy wykładniku? Niewątpliwie tak, a jest nim świetne opanowanie warsztatu pozwalające na pełną swobodę realizowania własnej koncepcji, a właściwie wielu koncepcji pełnych rozmachu i dynamiki, zbudowanych na współczesnej świadomości plastycznej.

Całość zestawu uzupełnia kilka grafik Willa oraz rzeźby ceramiczne i metalowe, wśród których „Królowa" Podsiadły skupi spojrzenie niejednego widza.

I. J. K.

Werszyhora i jego ludzie

(Dokończenie ze str. 7)

zmotoryzowany, pułk z 8 dywizji Waffen SS — wszystko to ciągnie z różnych stron przeciwko partyzantom. Tymczasem ci przerzucają się znów nad San do Majdanu Sieniawskiego. Werszyhora bowiem nie wyrzeka się swych planów przedarcia się za San, który, choć obsadzony, nęci go i kusi. Niemcy idą trop w trop. Jeszcze 28 lutego kilka ich samochodów wylatuje na minach założonych przezornie na szosie do Tarnogrodu. W jakiś czas potem ubezpieczenia staczają krótką walkę z kolumną hitlerowską jadącą z Sieniawy.

Pięć ognisk

W nocy na 1 marca dywizja rusza na północ. San wezbrał tak silnie, że forsowanie go wpław jest niemożliwe. Jedyna nadzieja to most w Krzeszowie, który być może uda się chwycić całym. Jednak przedtem jeszcze trzeba stoczyć ciężki bój z faszystami pod Dąbrowicą i Dziamą. Na wielu odcinkach zawrzała walka wręcz. Mimo użycia przez hitlerowców broni pancernej i artylerii, ich atak został odparty. Przez dwa dni daremnie pchają się do przodu. Niektóre ich oddziały jak np. szkoła pułkowa nr 39, są zupełnie rozbite. Ale i partyzanci mają straty. Wśród zabitych — dwaj dowódcy szwadronów: Haponienko i Łarionow.

Wieczorem, 2 marca, o godz. 19 1 UDP wyrusza w kierunku Krzeszowa. Kolumna rozciągnęła się, gdyż przyjęto wiadomość o przylocie samolotu i trzeba było zaczekać na zrzuty. Odbierano je już w marszu we wsi Brzyska Wola. Sygnałem była „koperta" — pięć ognisk płonących na pięciu saniach.

W chwili, gdy zbierano jeszcze zasobniki, od północy dobiegły strzały. To czołowy oddział pułku Brejki toczył bój o przeprawę w Krzeszowie. Po przepędzeniu Niemców z miasta — jak wspomina Brejko — *„szybkim atakiem rzucili się na most partyzanci. Nie bacząc na deszcz ołowiu z przeciwległego brzegu, przeskoczyli most, ale w tym momencie z zachodu podeszły czołgi niemieckie. Pancerną przeszkodą stanęły przed garścią śmiałków, którzy nie zdążyli nawet zorganizować obrony na maleńkim przyczółku. Siły były nierówne. Czołgiści, nie żałując amunicji, nieprzerwanie pokrywali ogniem cały brzeg, a szczególnie dojście do mostu. Partyzanci Aleksiej Kiryłow i Aleksiej Pietuszkow zaszli przeciwnika z flanki i za cenę własnego życia, umożliwili towarzyszom odwrót na prawy brzeg rzeki San".*

Kiedy koło 1 w nocy nadciągnęły pozostałe oddziały, walka trwała nadal, ale szans na zdobycie mostu już nie było. W tej sytuacji Werszyhora zarządza „odskok" na wschód.

Ramię przy ramieniu

Boje nad Sanem, w pow. biłgorajskim i na Zamojszczyźnie zapoczątkowały szlak bojowy 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej na ziemiach polskich, rajd, w którym przeszła ona 2 tys. kilometrów, stoczyła 20 bitew, nie licząc akcji dywersyjnych paraliżujących transport wroga, dezorganizujących zaplecze frontowe (zniszczono 9 mostów kolejowych, 57 mostów na szosach, wysadzono w powietrze 24 transporty wojskowe: 11 lokomotyw i 227 wagonów ze sprzętem wojskowym, spalono 196 samochodów).

Niezależnie jednak od sukcesów o znaczeniu wojskowym podkreślić należy olbrzymi moralny i polityczny wpływ, jaki pojawienie się i postawa 1 UDP wywarła na ludności polskiej. Sukcesy partyzantów i przerażenie, jakie wywołały one wśród Niemców, podniosły ducha ludności nękanej przez faszystów. (A trzeba powiedzieć, że partyzanci Werszyhory równie energicznie występowali przeciwko hitlerowcom, jak i rezunom spod znaku OUN i UPA).

Od pierwszego dnia pobytu nawiązała się współpraca między 1 UDP i partyzantami polskimi. Nie było ani jednej poważniejszej akcji, w której Polacy nie pomagaliby partyzantom radzieckim. Nawet oddziały, których władze zwierzchnie zabroniły kontaktów i współpracy z partyzantami radzieckimi, przekraczały te rozkazy, współdziałały ze zgrupowaniem Werszyhory, widząc w tym możliwość skutecznego działania przeciwko znienawidzonym okupantom. Polacy byli informatorami i przewodnikami Kowpakowców, walczyli często razem z nimi ramię przy ramieniu.

*

Kiedy w 1962 roku gen. Werszyhora odwiedził wioski na pograniczu województw lubelskiego i rzeszowskiego, ludność urządzała mu spontaniczne, serdeczne przyjęcie. Starzy partyzanci, ludzie, pod których dachem wówczas przebywał, cisnęli się do niego, wspominali ze wzruszeniem razem przebyte chwile.

Generał sporządzał wtedy notatki do swej kolejnej książki, która miała opowiedzieć o walkach w Polsce; wszyscy dopytywali, kiedy ukaże się w druku. Niestety, przedwczesna śmierć przekreśliła te plany i nadzieje tysięcy jego wiernych czytelników. Być może, ktoś zechce kontynuować rozpoczętą przez niego pracę. Na razie jedynie wieczorami w wioskach Roztocza i Zasania opowiada się o ludziach, którzy byli postrachem hitlerowców, przypomina dawne walki, w których rodziło się i krzepło braterstwo polskich i radzieckich bojowników o wolność.

Witold Szymczyk

PROF. DR ADAM MALICKI

kierownik Katedry Geografii Fizycznej Uniwersytetu MCS w Lublinie

BIESZCZADY

PARK NARODOWY

SPOŁECZEŃSTWU polskiemu znane są dobrze z autopsji, z publikacji i wzmianek prasowych dwa najbardziej atrakcyjne parki narodowe naszego kraju: Tatrzański i Białowieski. W latach międzywojennych zostały utworzone parki: Wielkopolski i Świętokrzyski. Pozostałe: Pieniński, Babiogórski, Ojcowski, Karkonoski, Kampinoski i Woliński — powstały już w latach powojennych. Łącznie 10 czynnych obecnie na obszarze Polski parków narodowych zajmuje nieco ponad 78 tys. ha, co stanowi zaledwie 0,25 proc. powierzchni państwa. W przypadku realizacji projektowanych dalszych dwu parków: Bieszczadzkiego oraz Łebskiego, stosunek ten wzrośnie do 0,37 proc. ogólnej powierzchni Polski. Biorąc zaś pod uwagę całość terenów znajdujących się aktualnie pod ochroną, a więc oprócz dużych kompleksów zwanych parkami, także i mniejsze jednostki — rezerwaty, zarówno istniejące jak i projektowane, stan posiadania ochrony przyrody wyniesie zaledwie 0,51 proc. powierzchni Polski.

Wielkość ta jest niewspółmiernie niska, zwróćmy uwagę na fakt: w sąsiadującej z nami Czechosłowacji tereny znajdujące się pod ochroną zajmują 1,18 proc. powierzchni tego państwa, w NRD — 1,5 proc., w Irlandii — 1,6 proc., w W. Brytanii — 4 proc., w gęsto zaludnionej Japonii — 4,8 proc., w NRF — 7,8 proc. itd. — by dojść do rekordowej wielkości w Kenii, wyrażającej się liczbą 13,5 proc. Dane te są zastanawiające.

Pokutuje bowiem u nas mniemanie, niczym zresztą nie uzasadnione, że oddanie pewnych terenów pod ochronę przyrody, wyłącza je bezpowrotnie z gospodarki ogólnonarodowej. Obalenie tego błędnego poglądu nie jest sprawą łatwą i zanim zdobędziemy się na argumentację popartą rachunkiem ekonomicznym, postawmy na razie retoryczne pytanie: czy można przyjąć powyższe twierdzenie, jakoby te kraje, które oddały większy odsetek swej powierzchni aniżeli Polska pod ochronę przyrody, jak np. CSRS, NRD, NRF, W. Brytania i Japonia — należały do państw źle gospodarujących? Odpowiedź nasuwa się sama.

Tereny objęte ochroną przyrody nie dają wprawdzie rokrocznie dochodu w postaci plonów rolnych czy wyciętej masy drewna, ale dostarczają nie mniej wymierne wartości pośrednie, choćby w zwiększonej liczbie turystów krajowych i zagranicznych, dla których parki narodowe są prawdziwym magnesem przyciągającym.

Niezależnie od tego parki narodowe są równocześnie jakby wielkimi, naturalnymi laboratoriami naukowymi. Rzetelnie przeprowadzone badania na ich terenach, wprowadzane następnie w życiu praktycznym, przynoszą tak wielkie zyski, dające się również wyliczyć w złotówkach, że chwilowe, doraźne tzw. „straty", wynikające z wyłączenia terenów ochronnych z dotychczasowego systemu gospodarczego — reprezentują wartości wprost znikome.

Wychodząc z tych założeń, powinniśmy poprzeć każdą uzasadnioną inicjatywę powiększania obszarów rezerwatowych oraz parkowych. Do tego rodzaju inicjatywy należy projekt utworzenia Bieszczadzkiego Parku Narodowego, wysuwany już od bez mała dziesięciu lat. Jeszcze w 1956 r. Władysław Grodziński charakteryzując w XXV roczniku „Wierchów" — „Świat roślin i zwierząt w Bieszczadach Polskich", zwraca uwagę na osobliwości przyrodnicze tej części Karpat i sugeruje pełną ich ochronę poprzez utworzenie na tym terenie parku narodowego. W rok później prof. Stanisław Lisowski publikuje w organie Państwowej Rady Ochrony Przyrody (dwumiesięcznik „Chrońmy przyrodę ojczystą" rocznik 1957, zeszyt 1) artykuł pt. „O utworzeniu Parku Narodowego w Bieszczadach Zachodnich" — i w 1961 r. w tymże samym czasopiśmie inż. H. Bodnar zabiera głos — „W sprawie Parku Narodowego w Bieszczadach".

Zarówno wymienieni autorzy, jak też wielu innych, którzy na łamach rocznika „Wierchy" opisywali kilkakrotnie po 1951 roku nasze Bieszczady, zgodnie podkreślali osobliwe piękno ich przyrody i krajobrazu. Bieszczady Zachodnie — to jedyny skrawek Karpat Wschodnich, znajdujący się na terytorium PRL. Mimo stosunkowo nieznacznych wysokości bezwzględnych (najwyższy szczyt — Tarnica ma 1348 m n.p.m.) rzeźbą swą przypomina w miniaturze wysokie partie Tatr i Alp (podwójne grzbiety, strome skaliste ściany, rumowiska skalne, pojedyńczo sterczące strome, skaliste).

Osobliwością Bieszczadów jest także w niskich wysokościach wykształcona górna granica lasów i to uformowana w obrębie regla dolnego, złożonego na tym obszarze głównie z buka (Fagus silvatica). Brak w naszych Bieszczadach regla górnego, na który w Tatrach składają się drzewa szpilkowe. Bezpośrednio nad wąską strefą karłowatych i poskręcanych przez działanie wichrów oraz zasp śnieżnych bukowych krzywulców, rozpościera się strefa łąk górskich — połonin. Występowanie połonin w Zachodnich Bieszczadach tłumaczono niegdyś jako skutek zniszczenia lasów w szczytowych partiach gór dla uzyskania odpowiedniej powierzchni pod wypas sezonowo tutaj spędzanych stad bydła rogatego i owiec. Tak było na grzbietach: Połoniny Wetlińskiej i Caryńskiej, natomiast w grupie Tarnicy, Halicza, Rozsypańca, Krzemienia oraz na przeważnej części Szerokiego Wierchu i Bukowego Berda — mamy szereg dowodów wskazujących na to, że granica lasów i połonin jest uwarunkowana naturalnymi przyczynami.

Skaliste, silnie krzemionkowe i płytkie podłoże, tracące szybko wilgoć przy częstych tutaj porywistych wysuszających wiatrach, krótki okres wegetacyjny i niskie średnie temperatury lata — oto główne przyczyny.

Niski zasięg górnej granicy lasu i brak wykształcenia regla górnego znany jest na północnym skłonie Karpat jedynie w Bieszczadach. Analogiczne zjawisko po południowej stronie Karpat występuje tylko na obszarze Rusi Zakarpackiej i uwarunkowane jest tam również przede wszystkim niekorzystnymi stosunkami klimatycznymi.

Powyżej górnej granicy lasów bukowych, już w obrębie połonin bieszczadzkich rośnie kępami kosa olcha (Alnus viridis D. C.), element wschodnio-karpacki wraz z towarzyszącą mu jarzębiną oraz wieloma innymi, niższymi gatunkami roślin, które poza Bieszczadami nie są znane z innych terenów Polski. Świat zwierząt w obrębie głównych grzbietów polskich Bieszczadów jest bogaty w rzadkie gatunki. Dość powiedzieć, że spośród 137 gatunków fauny kręgowej, stwierdzonej na tym obszarze, aż 89 stanowią zwierzęta objęte ustawowo ochroną. Bieszczady nasze są obok Białowieży i Tatr jedynym obszarem występowania niedźwiedzia. Liczne są tu rysie, żbiki, wilki, dzikie świnie, jelenie, sarny. Tutaj gnieździ się jeszcze orzeł przedni, rzadki płochacz halny i siwernik oraz szereg rzadkich, drobnych gryzoni. Wysuwa się też przypuszczenie, że obok innych gadów na obszarze Bieszczadów występuje niezmiernie rzadko spotykany w Polsce wąż Eskulapa.

Ten niewielki stosunkowo skrawek naszych Karpat jest więc bogato obdarzony rzadkimi lub osobliwymi elementami przyrody ożywionej i nieożywionej. Powstanie na tym obszarze parku narodowego poddanego ścisłej ochronie, wykluczającej bezmyślną i doraźną eksploatację, nie tylko pozwoli na przetrwanie rzadkich gatunków roślin i zwierząt, ale przyczyni się w przyszłości do ich ilościowego pomnożenia.

Wspomnieć trzeba, że na obszarze projektowanego Bieszczadzkiego Parku Narodowego powstał w jesieni 1963 r. rezerwat żubrów. W ten sposób sztucznie pomnożono jeszcze tutaj ilość rzadkich gatunków krajowej fauny.

Rosnący z roku na rok ruch turystyczny na obszarze Karpat Wschodnich jest jednym z czynników ich gospodarczej aktywizacji. Wymaga odpowiednich inwestycji w zakresie usług, ale i planowych zabiegów dla ochrony najbardziej wartościowych elementów naturalnego krajobrazu. Im więc prędzej przejdziemy od teoretycznych narad do urzeczywistnienia projektu Bieszczadzkiego Parku Narodowego, tym większe wartości uzyskamy doraźnie i zabezpieczymy na przyszłość.

Toteż z radością przyjąć należy uchwały i rezolucje w sprawie Bieszczadzkiego Parku Narodowego, które niezależnie od siebie zapadły w ostatnich miesiącach: 11 listopada 1964 r. na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Geograficznego — oddziału w Lublinie, dnia 22 listopada 1964 r. na zebraniu Komitetu Ochrony Przyrody Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego odbytym w Lesku, dnia 22 stycznia 1965 r. na konferencji Instytutu Geografii PAN oraz Instytutu Geografii Uniwersytetu w Warszawie. Zaś za krok najważniejszy należy uznać podjęcie uchwały przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Ustrzykach Dolnych w dniu 26 stycznia br., która przyjmuje projekt i występuje do władz nadrzędnych o jego zatwierdzenie. Spodziewać się więc można, że w niedalekiej już przyszłości piękny zakątek naszych Bieszczadów znajdzie się pod ochroną i służyć będzie dobru nauki przynosząc również wielorakie korzyści całemu narodowi.

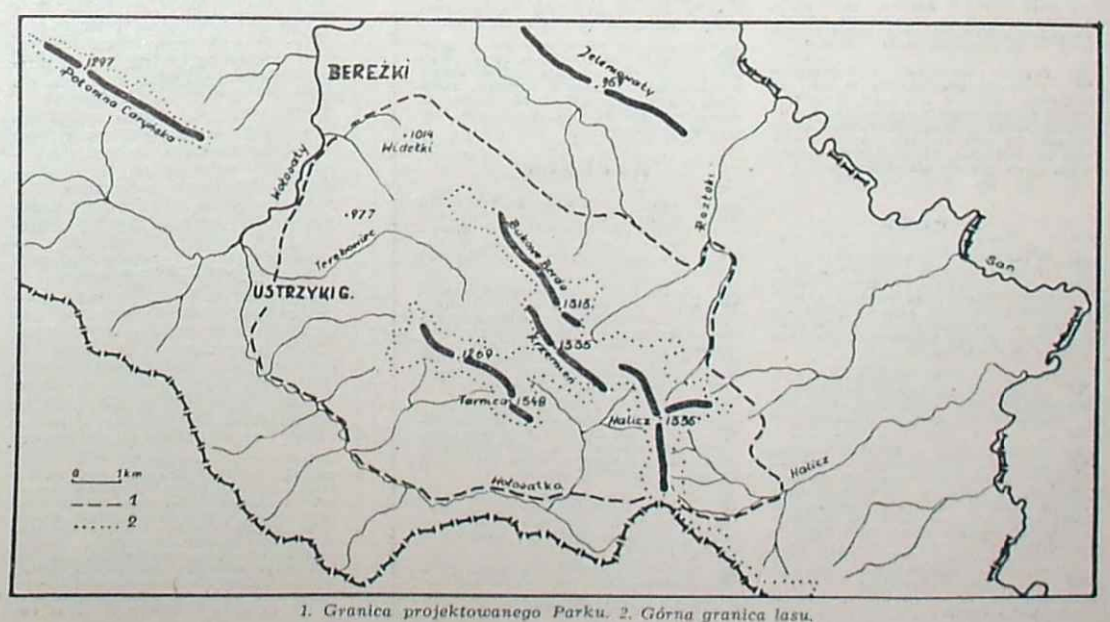

1. Granica projektowanego Parku. 2. Górna granica lasu.

ZDZISŁAW OSTROWSKI

Podróż

Jakże tu było trudno dosięgnąć
oparcia
plecy tak ułożone jak w zastygły
szkielet
pod nieobecność drzew
przesiedlonych w tę mgławicę
czerni
prowadził wóz bez resorów z
zadyszką silnika
Za kierownicą ręce
zwisające strąki
o szybę uderzały oczy
pręcikami bólu
wył motor rzeźbiąc skorupę nocy
ćmy blaszano zamykały skrzydła
Tak jechaliśmy
chcąc dosięgnąć ranka
nie zważając na znaki
starców uczonych w piśmie
aż porwał nas przeciąg traw
więc zboczyliśmy z drogi
ocierając kołami
zaledwie o świt.

Odpowiedzi Redakcji

W. M. w Lublinie. Listów od początkujących autorów otrzymujemy wiele, trudno więc odpowiadać szczegółowo. Pańskie wiersze są zdecydowanie słabe. Opowiadania również, ale jeśli Pan musi koniecznie pisać, to raczej niech się Pan ćwiczy w prozie. Ale nie mówi się: „uległem temu spojrzeniowi" ani „nie mogłeś się pokochać z dziewczyną", bo to nie po polsku.

Cel. K. w Białymstoku. List przeczytaliśmy z ciekawością, a wiersze, mimo komentarza w liście, z przerażeniem. Nie chodzi już o słabą formę, ale o deklarację tego rodzaju: „Ja nie przeżyłam wojny lecz gdyby nie ona nie byłoby Różewicza całej współczesnej poezji (i...) nie byłoby obozów koncentracyjnych, trupów i śmierci pracujących ludzi, ale nie byłoby i Różewicza". Nie, proszę Pani, oddamy Różewicza i całą współczesną poezję, aby tylko nie było wojny.

Al. B. w Lublinie. Tym razem nie skorzystamy.

Wł. J. w Kołaczycach. Niestety, nie dla nas.

J. K. w Puławach. Z nadesłanych utworów żaden nie nadaje się do druku w całości, ale tu i ówdzie są miejsca świadczące o tym, że mógłby Pan napisać zupełnie dobry wiersz.

J. Czyk. Tan. w Białymstoku. Z nadesłanych materiałów nie skorzystamy, ale może Pan ma inne wiersze do ewent. wyboru.

E. Pud. w Warszawie. Jak wyżej. Może zamieścimy „Syntezę".

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Kaprysy frekwencji

Pod koniec 1950 roku atrakcją sezonu wydawniczego stała się sensacyjno-filozoficzna powieść Jana Potockiego „Rękopis znaleziony w Saragossie", którą „Czytelnik" opublikował w mającym przeszło sto lat przekładzie Edmunda Chojeckiego, albowiem francuski oryginał dzieła polskiego hrabiego — pisarza, podróżnika, erudyty, racjonalisty XVIII wieku — zaginął.

Rzecz przeczytano z ciekawością, omówiono w czasopismach, w prasie codziennej, w kawiarni literackiej, po czym normalnym trybem odłożono do lamusa pamięci. Tylko niekiedy tytuł zabrzmiał jeszcze przelotnie w gawędach intelektualistów gwoli jakiejś przygodnej analogii. Aż tu nagle po kilkunastu latach gruchnęła nowina: z tego kręci się film. Posypały się prognozy. Taki gigant? Przede wszystkim sprawa scenariusza... Powieść (trzy tomy) liczy w sumie ponad tysiąc stron. Budowę ma szufladkową, tj. taką, przy której jeden wątek fabuły staje się osnową do snucia innych, dygresyjnych opowieści, kojarzących się sposobem misternej zależności w ideową i artystyczną całość. Poza tym, jak zaznaczał już w przedmowie Marian Toporowski, utwór ten zawiera poważny ładunek filozoficzny. *„Co więcej, chęć propagowania światopoglądu racjonalistycznego i materialistycznego o podbarwieniu deistycznym zdawała się być nawet celem, dla którego w ogóle napisał Potocki swój romans".* Jak koło tego chodzić w dzisiejszym skłóconym świecie?

Czekano nie tylko w Warszawie, ale i w Lublinie.

Nareszcie przy końcu pierwszej dekady lutego br. we wszystkich gablotach lubelskiego OZK ukazała się ozdobnie wykaligrafowana informacja następującej treści:

Rękopis znaleziony w Saragossie

Panoramiczny film produkcji polskiej wg powieści Jana Potockiego, zrealizowany z niezwykłą starannością, olśniewający pięknem kostiumów i dekoracji. Awanturniczy film „płaszcza i szpady". Fantastyczna opowieść z duchami, opętanymi, wisielcami i egzotycznymi księżniczkami. Przede wszystkim jednak jest to satyra i kpina z ludzkich słabostek i wad. W sumie jeden z najbardziej oryginalnych filmów w dorobku polskiej kinematografii. W filmie grają: B. Krafftówna, E. Czyżewska, Pola Raksa, Zbigniew Cybulski, G. Holoubek, B. Kobiela, K. Opaliński i wielu innych. Reżyseria: Wojciech Has".

Kwiat stylistyki reklamowej, prawda?

Podobnym stylem przemówił do swych czytelników „Kurier Lubelski". Jednocześnie zaczęła się przedsprzedaż biletów w zainteresowanym szerokoekranowym kinie „Kosmos" (widownia na 800 miejsc) i w specjalnym punkcie przy jednej z ulic śródmiejskich.

W sobotę, 13 lutego, odbyła się premiera. Frekwencja — stuprocentowa!

Niestety, sukces trwał zaledwie trzy dni. Na czwarty liczba widzów zaczęła gwałtownie opadać, zwłaszcza na rannych seansach, zniżając się do 13, 12, a nawet 7% kompletu. Przestaje działać preinformacja, działa poczta pantoflowa.

Do kultury się dopłaca, rzecz wiadoma, ale w granicach zdrowego rozsądku. Jest takie zarządzenie ministerialne, które zezwala dyrekcji kina zdjąć film produkcji polskiej w momencie, kiedy frekwencja spadła na dwóch kolejnych seansach wieczornych poniżej 50 procent. Otóż dziesiątego i jedenastego dnia od premiery publiczność wykupiła 21 i 23 procent miejsc komfortowej widowni „Kosmosu". Dyrekcja kina musiała wysłać „Rękopis znaleziony w Saragossie" dalej w Polskę. Na 27 seansach obejrzało film ogółem 7765 widzów, co stanowi zaledwie 33 procent pełnowartościowej frekwencji. A przecie oferowano społeczeństwu Lublina, miasta uniwersyteckiego superfilm o wyjątkowych walorach artystycznych!

Tyle, że superfilm intelektualny — z tym właśnie wiążą się chyba kłopoty kasowe. Posłuchajmy:

Widz prymitywny: W ogóle lipa.

Widz dociekliwy: Dlaczego Cybulski wraca wciąż na to samo miejsce?

Kinoman-dowcipniś: Myślałem, że kinooperator pomylił akty... I tak dalej. Basta.

Niestety, zjawisko zdaje się nie jest wyłącznie lokalne, lubelskie, bo z recenzji warszawskich przeświecają obawy przed niewłaściwą recepcją filmowej wersji „Rękopisu". Powstaje tedy pytanie, czyżby istotnie zamiarem Hasa było zrobienie z mądrej, elitarnej książki — filmu dla odbiorcy masowego? Tak czy inaczej, film jest nie mniej trudny i elitarny niż książka. Bogactwo jego pysznych, kontrastowych epizodów, zabarwionych subtelną ironią czy sceptycyzmem, luźno skojarzonych, wymaga dość bystrej orientacji.

W interesującym, arcysłusznym, entuzjastycznym artykule pod prowokacyjnym tytułem „Zabawa dla mądrych" Wojciech Żukrowski (p. „Kultura" nr 8) kładzie nacisk na rolę prasy w propagowaniu tego filmu. Gwarantuje, że przy odpowiednim komentarzu, przy wyjaśnieniu konwencji artystycznej tłumy będą walić, choćby ze snobizmu. Śmiem wątpić. Myślę, że nawet i po najlepszej prelekcji i po najusilniejszym łechtaniu próżności ludzkiej nikt nie wysiedzi w kinie z rozkoszą 3 i pół godziny, jeśli nie potrafi rozsmakować się bez komentarza, w tym, co mu demonstrują. Nie znaczy to, iż nie należy propagować i komentować. Tylko trzeba się liczyć z tym, że akcje doraźne dają nikłe rezultaty. Smaku do finezyjnej igraszki intelektualnej nie nabiera się naprędce.

Kto wie, czy nie można było raczej podejść widza „sposobem" od strony samej budowy filmu. Wnikliwa recenzentka „Ekranu" Barbara Mruklik (v. nr 7 br.) sugeruje odwrócenie kolejności części obrazu. A więc — najpierw opowiadania obyczajowe, potem dopiero romans grozy. Wydaje się, że koncepcja nie jest pozbawiona racji. Brnąc dalej w nieodpowiedzialnych rozważaniach kibica przychodzę do konkluzji, iż możliwe byłoby w takim razie pokazanie dwóch serii na osobnych dwóch seansach, a wówczas seria składająca się z opowieści (moim zdaniem „renesansowo" pogodnych i pikantnych w stylu noveliera Sacchettiego) przy odpowiednim nasyceniu jej „dyskursem filozoficznym", — ta seria względnie przystępna, zachęciłaby i przygotowała widza do zobaczenia serii trudniejszej, eksponującej jałowe powroty van Werdena do venty Quemada, pod szubienicę z wisielcami, do beznadziejnego krajobrazu ze stosami trupich czaszek.

Tylko wtedy znów kto inny powie: „A co z optymizmem?" Bo, prawdę mówiąc, to błąkanie się kapitana gwardii wallońskiej mocno mi przypomina losy pewnego, słynnego w literaturze, geometry, który próbuje nawiązać kontakt z „zamkiem" i za każdym razem nic nie osiąga — wszystko się wciąż zaczyna od nowa. Takim akcentem kafkowskim, a bodaj nawet współcześnie egzystencjalnym, czyż można zakończyć film panoramiczny?

A oto wniosek końcowy: „Rękopis znaleziony w Saragossie" moim zdaniem jest wspaniałym dziełem filmowym, które przyczyni się na pewno do wydatnego podniesienia prestiżu polskiej kinematografii w całym świecie. Obyśmy mieli tyle takich filmów, na ile stać nasz kraj. I nie wyłącznie dla sławy światowej, ale i dla uradowania wielotysięcznej jednak w skali ogólnopolskiej rzeszy widzów wyrobionych. Widz masowy również przyjdzie z czasem na takie filmy, dużo się przecież robi w ostatnich latach dla jego wychowania artystycznego.

Zresztą Lublin ma już teraz szansę zrehabilitowania się: „Rękopis znaleziony w Saragossie" wejdzie za parę tygodni na ekran kina „Wyzwolenie". Proszę tymczasem przeczytać książkę. Naprawdę można się delektować i sfilmowanym „Rękopisem" nawet dwa razy. Ma on w sobie coś z dynamicznej wielopłaszczyznowości rzeźb i obrazów Boccioniego, która nie pozwala zapamiętać od razu wszystkich elementów, skłaniając w ten sposób do ponownego oglądania.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Rada uczelniana ZSP przy Akademii Medycznej zorganizowała „Tydzień Warmii i Mazur". To chyba jakaś nowa i pożyteczna forma propagowania dorobku sąsiedniego województwa. Naśladownictwo pożądane.

Uczniowie liceum ogólnokształcącego w Bielsku Podlaskim chodzą po mieszkaniach prywatnych i zbierają dary dla szkolnego muzeum regionalnego. Mają już wiele dokumentów z okresu okupacji, książki z początku XVIII w., stare monety, żelazka i samowary. Najciekawsze to, że promotorem wszystkiego jest nauczyciel wychowania fizycznego — p. Zygmunt Gabrylewski.

Zakłady Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie istnieją 10 lat, zatrudniają prawie 4 tys. osób, ale wciąż nie mogą właściwie zorganizować świetlicy w Domu Młodego Robotnika, gdzie mieszka 350 osób. Ostatnio „Ruch" otworzył tu swój klub, ale poza wprowadzeniem kawy nic się nie zmieniło.

KIELCE

19 lutego — w dwudziestolecie powstania Państwowej Orkiestry Symfonicznej — odbył się uroczysty koncert z udziałem Reginy Smendzianki. 13 muzyków, grających w POS od początku, otrzymało wyróżnienia. Na kontrabasie gra od 20 lat bez przerwy 68-letni dziś p. Stanisław Klimowicz.

Chyba nie tylko stosunkowo niskie płace powodują masowy odpływ pracowników bibliotekarskich. W r. 1963 zrezygnowało 107 osób, w ubiegłym już 111.

Kielecki klub miłośników teatru w konkursie „Spotkanie z Melpomeną", zorganizowanym przez redakcję „Filipinek", zajął po klubie bydgoskim drugie miejsce w kraju. W nagrodę członkowie pojechali na 2 dni do Warszawy, obejrzeli 4 spektakle i kulisy 2 teatrów.

Nareszcie. Kielce jako przedostatnie miasto wojewódzkie w Polsce dorobiło się Międzynarodowego Klubu Książki i Prasy.

LUBLIN

Na spotkaniu z inteligencją techniczną województwa poseł Ziemi Lubelskiej sekretarz KC PZPR, Witold Jarosiński, zapowiedział przekształcenie od nowego roku akademickiego Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej w uczelnię dzienną.

Klubów Ruchu jest już na Lubelszczyźnie 260. Ale dotychczas praca kulturalno-oświatowa nie bardzo się rozwijała. Ostatnio radzili nad tym sekretarze propagandy KP PZPR, członkowie prezydiów PRN, kierownicy wydziałów kultury prez. PRN i przewodniczący zarządów powiatowych ZMS.

Czynny od kilku miesięcy w Hrubieszowie Dom Nauczyciela pełnił dotychczas tylko funkcję hotelu. Ostatnio powołano tam radę klubową. Może więc nowy, ładny budynek stanie się ośrodkiem pracy kulturalnej dla dużej części miasta.

RZESZÓW

Muzeum Państwowe w Przemyślu organizuje na koniec marca wystawę „Przemyśl oskarża". Prosi wszystkich o wypożyczenie materiałów o charakterze dokumentalnym z okresu okupacji.

Kuratorium i Wojewódzki Zarząd Kin uruchomiły w auli technikum budowlanego kino dla młodzieży „Zaczek". Wstęp tylko za okazaniem legitymacji szkolnych. W repertuarze filmy o dużej wartości artystycznej i wychowawczej, a także oświatowe, historyczne i krajoznawcze, związane z bieżącym programem szkolnym.

W teatrze Zakładowego Domu Kultury w Stalowej Woli grają, oczywiście, pracownicy huty. Ale coraz częściej zespół dokształca sobie przyszłych adeptów — młodzież szkolną.

Powiat lubaczowski ma się czym pochwalić. W tej chwili 15 zespołów amatorskich wystawia rozmaite sztuki. Miejscem prób są przeważnie kluby „Ruchu".

Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku rozpoczęło wydawanie biuletynu informacyjnego o pracach i doświadczeniach tej placówki.

TU i ówdzie

Wpływ polityki na dykcję?

W życzliwym na swój sposób artykule pt. „Polityka i sztuka w ewolucji polskiego stylu gry aktorskiej" niejaki „korespondent" londyńskiego „Times'a" wyłowiwszy z nurtu dziejów garść wiadomości opatrzył je niekoniecznie trafnymi komentarzami. Autor elaboracika dąży do wyjaśnienia, dlaczego aktorzy angielscy grają „mocno", polscy zaś mają słabe głosy i niezbyt precyzyjną dykcję. Gdyby tak było w istocie, czyżby przyczyna fenomenu leżała w tym, że nasi nieszczęśni słudzy Melpomeny są jednak, jak stwierdza sam „korespondent" lepiej dziś zabezpieczeni materialnie, niż ich doskonali koledzy angielscy, „bo otrzymują regularnie co miesiąc gaże nawet wówczas, kiedy nie grają".

Nie „powielać" inscenizacji

„Sowietskaja Kultura" poświęciła sporo miejsca niedawnej moskiewskiej konferencji reżyserów teatralnych. Autor jednego z artykułów atakuje m. in. standaryzację reżyserskich koncepcji. Reżyserzy prowincjonalnych teatrów upraszczają sobie niekiedy zadanie jeżdżąc do Moskwy na oględziny stołecznej inscenizacji powierzonej im sztuki. W ten sposób powstają w kraju liczne szablonowe spektakle. Inna postać standaryzacji wynika z pochopnego reklamowania „nowatorstwa". Pewni krytycy zapominają, bądź zwyczajnie nigdy nie słyszeli o eksperymentach i odkryciach rosyjskiego teatru końca XIX wieku i pierwszego trzydziestolecia wieku bieżącego. Tacy, gdy zobaczą lada spektakl bez kurtyny i dekoracji, zaraz okrzykną, że jest „awangardowy". W rezultacie cztery teatry w Moskwie grają cztery zupełnie odmienne w stylu sztuki — na jedną modłę: w kotarach, przy podniesionej raz na zawsze kurtynie, z przejmującym szeptem i bełkotem megafonu.

Beer

Produkcyjny temat i nieproduktywne dylematy

(Dokończenie ze str. 8)

sprawę. Sprofesjonalizowanie, zwłaszcza przy skłonnościach do skupiania się w Warszawie, pociąga w mniejszym lub większym stopniu wyobcowanie, tworzenie się mniej lub bardziej zamkniętego środowiska, nie mającego głębszych związków z resztą społeczeństwa. Jakże tu podejmować temat produkcyjny i nie tylko zresztą produkcyjny? Gdzież zebrać kapitał doświadczeń, jak przeżyć i odczuć na własnej skórze dziejące się przemiany i zapanować nad nimi artystycznie? Literaci — zaryzykuję twierdzenie — są opóźnieni i przeżywają rzeczywistość na prawach zwiedzającego. Powstać z tego może tylko opis, rodzajowość.

Nieco inaczej wygląda sprawa wśród młodych pokoleń. Niejedną ich książkę cechuje pasja zaangażowania, pasja artystycznej dociekliwości, zbuntowania wobec schematów, choć jest i sporo błędów, przesadnej wiwisekcji... Tylko że ich również wiedzie z reguły — po zdobyciu pozycji — do stolicy. Też wsiąkają w problemy wysnuwane w kawiarni, podlegają petryfikacji.

Moim zdaniem opinia, jakoby zarobkowanie poza literaturą wpływało ujemnie na artystyczny poziom tej literatury, jest mitem. Co więcej, przejście na zawodostwo wpływa ujemnie na poziom literatury, zmusza do pisania i wydawania bez względu na to, czy ma się coś do powiedzenia, czy utwór dojrzał. **Najlepiej żyli z literatury na ogół literaci nie przejmujący się poziomem swych dzieł.** Właśnie przyjęcie jakiejś stałej formy dochodu (bo literatura nie daje stałego dochodu) pozwala na spokojne zajęcie się tworzeniem, uniezależnia od koniunktury, gustów. Tak ułożył sobie sprawę Leśmian. Schultz uczył robót ręcznych w szkole i stworzył dzieła wybitne. Irzykowski był stenografem sejmowym, a daleko doń tym, którzy z recenzji żyją.

Wróćmy jednak do tematu. Czeka on na podjęcie. A może lepiej: dotychczasowe tematy czekają na poszerzenie o kontekst produkcyjny — abym był lepiej zrozumiany — o związki ze społecznością. (To też jest luka w naszej literaturze i nie tylko w literaturze. Myślę o całej sferze, którą określamy ogólnie jako sensus publicus, świadomość społeczna).

Trzeba tylko pamiętać, że temat produkcyjny sam w sobie nie jest ani dyskredytujący (błędy były w ujęciu), ani nie daje automatycznie legitymacji zaangażowania. Krasucki stawiając postulat rehabilitacji tematu, wyjaśnia, że nie wnosi o apelację, tylko o wnikliwy komentarz po wyroku. **Chciałbym dodać, że komentarz, aby był wnikliwy i produktywny, musi wyjść także poza przedmiot, czyli literaturę produkcyjną lat pięćdziesiątych, przełamać wiele nieproduktywnych dylematów i nie rozwiązanych problemów, wstydliwych kompleksów...**

Zdzisław Jastrzębski

NOTY

ROCZNICE. Jerzy Szaniawski ukończył w lutym 80 lat. W marcu (?) przypada 90-lecie urodzin francuskiego kompozytora Maurycego Ravela. Dziewiętnastego — Fryderyk Joliot-Curie ukończyłby 65 lat życia. Znana powieściopisarka radziecka, Wiera Panowa, dwudziestego marca obchodzi swoje sześćdziesięciolecie.

RAFAŁ MALCZEWSKI NIE ŻYJE! Syn J. Malczewskiego i podobnie jak ojciec znakomity malarz zmarł w Montreslu w 72 roku życia. Miłośnik Tatr, poświęcił im wiele płócien, a piękno wierchów przedstawiał też w opowiadaniach (zapomniany dziś cykl „Narkotyk gór") a przede wszystkim w doskonałej monografii „Tatry i Podhale" (wytwornie wydanej przez R. Wegnera w serii „Cuda Polski). Tę przedwojenną publikację należałoby koniecznie przypomnieć. Po wojnie Malczewski przebywał w Kanadzie, od lat kilku ciężko chory. Polskę i umiłowane Zakopane odwiedził w roku 1959. Wtedy wydał dowcipne wspomnienia zakopiańskie pt. „Pępek świata".

PARYSKI ODEON wystawił przeróbkę dramatyczną „Ameryki" Fr. Kafki, dokonaną przez J. L. Barraulta.

JUBILEUSZ. „Nowyj Mir", moskiewski miesięcznik Związku Pisarzy Radzieckich, obchodzi obecnie 40-lecie istnienia. W styczniowym numerze o jubileuszu tym pisze red. naczelny Aleksander Twardowski. Zeszyt zawiera m. in. wiersze Anny Achmatowej, dalszy ciąg powieści K. Fiedina „Ognisko" i początek szóstej części wspomnień J. Erenburga.

JAK DONOSI „ŻYCIE LITERACKIE" (nr 8), „w Płocku pod egidą Ministerstwa Kultury i Sztuki będą się odbywały coroczne festiwale teatrów poezji poświęcone Broniewskiemu i poezji społecznej". Styks, który o tym wspomina, słusznie obawia się, że tego rodzaju imprezy mogą łatwo wyrodzić się w coś urzędowego i uważa, że pamiętniki Broniewskiego opublikowane we fragmentach w „Polityce" „mogłyby posłużyć jako materiał do rozsądnie prowadzonej dyskusji z zespołami". Ze swej strony dodam, że pamiętniki Broniewskiego powinny być opublikowane w całości (nie w urywkach) i wydane w osobnej książce. Przecież należą także do puścizny znakomitego poety i zbliżają do czytelnika postać rewolucyjnego twórcy.

„PORANEK W TWIERDZY BRZESKIEJ". Pod tym tytułem w n-rze 44 wileńskiego „Czerwonego Sztandaru" ukazał się fragment szkicu pisarza radzieckiego Siergieja Smirnowa, przedstawiający bohaterską obronę twierdzy zdradziecko napadniętej przez hitlerowców 22 czerwca 1941 roku na początku wojny niemiecko-radzieckiej. Za książki „Twierdza brzeska" i „Opowiadania o nieznanych bohaterach" Smirnow kandyduje do Nagrody Leninowskiej.

W SŁUSZNEJ I PRZEKONYWAJĄCEJ REPLICE Jerzego Kwiatkowskiego na artykuł J. S. Sity skierowany przeciwko poezji Różewicza („Życie Literackie" nr 9) widzimy wyraźne niezdecydowanie autora co do odmiany nazwiska poety. W podtytule tłustymi literami: „czyli sztuka magiczna Jerzego S. Sito", w tekście genetivus to „Sito", to „Sity". Dlaczego nikt jakoś nie powie i nie napisze „przysięga Kościuszko" ani „Halka" Moniuszko?

Z DUŻYM NIESMAKIEM przeczytałem w n-rze 9 „Życia Literackiego" kolejny „List z Lublina" R. Karasia. Trzydziestoletni dziennikarz (chyba stosując jego kryteria do młodych już go zaliczyć nie można) poczyna sobie jak „swawolny Tadeuszek" i złośliwie żonglując liczbami i metrykami i dmąc zwycięsko w fanfary, usiłuje nadać rewela- i rewolucyjnego charakteru zwykłej zmianie warty, jaka nastąpiła na kierowniczych stanowiskach kilku lubelskich ośrodków życia kulturalnego. Imputuje jakieś „korekty" (wymyślonych przez siebie) „pojęć", jakoby w Lublinie „uważane za ludzi młodych osoby liczące od 45—70 lat" a „w wieku średnim — z górną granicą lat 100". „Taki był układ sił (? jakich sił?! — przyp. mój). Twierdzono, że jest nie do zniesienia, bo jeśli to się stanie — runie dotychczasowy dorobek". „Stało się. Na razie nic się nie wali". A cóż u licha i diaczego miałoby się walić? Dla p. Karasia nastąpiło trzęsienie ziemi, kataklizm, wybuch bomby atomowej. A tu tymczasem przyszły „nowe twarze", których pracę jeszcze za wcześnie oceniać. Miejmy nadzieję, że „twarze" te nie mają jednak nic wspólnego ze zdjęciem bez podpisu zamieszczonym pod „listem" (młodzież odwrócona tyłem, pan w średnim wieku i babka z odsłoniętym kolanem).

-kaj-

TEATR na szklanym ekranie

Daleko od stolicy

ZNAKOMITĄ rekomendacją dla sztuki „Ucieczka z Betlejemu" było słowo wstępne Romana Szydłowskiego, nacechowane szczerą, udzielającą się telewidzowi sympatią do ludzi, którzy gdzieś na bezdrożach zaczynali i ciągle zaczynają budować nowe bazy przemysłowe Polski Ludowej. Ukrywają oni częstokroć pod warstwą brutalności serdeczne zaangażowanie się w tym, co robią. Zapewne ukazanie ich „trudnego optymizmu" przyczyniło się do odznaczenia sztuki Edmunda Niziurskiego II nagrodą na konkursie związanym z 20-leciem PRL. Ale fakt przyznania tej nagrody świadczy niejako o kłopotach repertuarowych naszych teatrów w zakresie rodzimej dramaturgii z tematyką współczesną. O ile bowiem sam pomysł uczczenia bohaterskiego wysiłku pionierów zasługuje na pełne uznanie, o tyle faktura artystyczna „Ucieczki z Betlejemu" pozostawia coś niecoś do życzenia. Wydaje mi się, iż niejeden telewidz poczuł unoszącą się nad utworem lekką woń lakieru, mimo gęstego przesypania tekstu „nieuczesanymi" refleksjami postaci.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby się zliczyło tych wszystkich, którzy pracowali z dużym poświęceniem na wszelkich odkrywkach i budowach Polski Ludowej, wypadłaby w sumie liczba niesłychanie imponująca. Aliści jeśli chodzi o sztukę, trudno się widzowi obronić przed pewną dozą sceptycyzmu, kiedy mu pokazują na raz aż pięć postaci, które są chłop w chłopa w gruncie rzeczy pozytywnymi bohaterami, przemyślnie skażonymi tym czy innym niewinnym grzeszkiem. Cóż z tego, że wybujała ambicja Edka sięga ponad awans na operatora (poza tym lubi on pasjami fotki z „babkami" — ajajaj!), a znowuż stary Pacała przechwala się względami swego syna, dyrektora przedsiębiorstwa (który w rzeczywistości jest zakulisowym czarnym charakterem, bo nie chce znać ojca), albo też Gienek marzy (jak najbardziej naiwnie) o bogatym ożenku i morgach, a tymczasem usiłuje ukraść, powiedzmy, całusa u przygodnej „babki"; Wiktorek zaś jest po prostu głupkowaty ze swoją chęcią epatowania wioski nowym garniturem... Trudno, nic nie poradzę, że mam ich wszystkich za poczciwców, mało wrażliwych na bodźce materialne, a już ich wódz duchowy Wielgud (nie ręczę za pisownię) jest zgoła zakrojony na pozytywnego bohatera, który kosztował tyle atramentu w niezbyt dawno minionych latach. I skazę mu przydzielił autor dość spopularyzowaną: ów Wielgud wymaga za dużo od ludzi, a zarazem za mało wierzy w ich gotowość do poświęceń. Ale nic to, bo i tak wiemy już z góry, iż nie będzie ucieczki z tego „Betlejemu", do którego pchnęła ich wszystkich żądza przygody („ludzie lubią patrzeć na żłobki betlejemskie" i inne osobliwości). Nie będzie ucieczki tym bardziej, że jak deus ex machina zjawia się również pozytywna „babka", żona Wielguda, gotuje niemal andersenowską zupę na gwoździu, niby to namawia małżonka do wydobycia się z krainy znojn i błota, lecz w końcu sama się dyskretnie ulatnia w chwalebnym celu nierozbijania załogi.

I oto mamy, prawdę mówiąc, jednego pozytywnego bohatera rozłożonego na głosy, choć każda postać narzeka co niemiara, bo i na dworze leje jak z cebra, i żywności nie dowieźli, i okolica taka, że „oka nie ma na czym zawiesić" i w ogóle nuda, a tymczasem taki Edek poszedł dziesięć lat temu za Wielgudem jako za działaczem (?), a tu co? „Zeszło się z węzłowej stacji na boczny tor".

Przy całym podejrzanym radowodzie literackim sztuki Niziurskiego ogląda się ją w telewizji jednak z zainteresowaniem. Raz dlatego, że przyjemnie jest patrzeć na dobrych ludzi, a po wtóre dlatego, że dialog jest naprawdę pyszny, pełen inwencji w swoim autentyzmie, jędrny, acz uwzględniający obecność młodzieży poniżej lat szesnastu. Przypuszczam, iż to bogactwo dialogu wpłynęło w niemałym stopniu na dobre samopoczucie aktorów obsadzonych w widowisku (!). Klimkiewicz, St. Jasiukiewicz, J. Nalberczak, J. Świderski, J. Turek, A. Zaorski).

Reżyserzy: Z. Kuźmiński i E. Paszkowski, wraz ze scenografem J. Maslowskim, wykorzystali z powodzeniem kilka efektów filmowych, jak np. widok na beznadziejnie błotnisty krajobraz z koparką, wielokrotnie pokazana zalazwiona szyba, uwydatnienie nieomal symbolicznych kubków, jak gdyby wziętych z wiersza Strumph-Wojtkiewicza.

Summa summarum, niezależnie od wyłuszczonych zastrzeżeń, należy zaliczyć spektakl do budujących.

M. B.-R.

Teatrowi może pomóc tylko teatr

(Dokończenie ze str. 5)

łatwić" problem młodzieży, bowiem nauczy młode pokolenie, jak powinna wyglądać miłość. Komentarze chyba zbyteczne.

Nie wiem, co nas jeszcze czeka na scenie dramatycznej i jakie pozycje z planu ostaną się przed „nowatorskimi" koncepcjami kierownictwa. Wiem tylko, że zobaczymy „Aktora" Norwida, bowiem jest już w zaawansowanych próbach i że w pełnym toku są prace nad wspomnianą „Damą Kameliową".

Podobno mają być jeszcze Osieckiej „Niech no tylko zakwitną jabłonie" — montaż piosenek i publicystyki, który cieszył się dużym powodzeniem w warszawskim teatrze Ateneum. W repertuarze był „Ktoś nowy" Domańskiego — kapitalna, bardzo kontrowersyjna sztuka współczesna, która wywołała olbrzymie zainteresowanie w Krakowie i grana jest już w kilku ośrodkach teatralnych. Na razie o tej sztuce u nas głucho. Mówiło się poważnie o wystawieniu dla młodzieży adaptacji „W pustyni i w puszczy" — jednej z najpopularniejszych powieści Sienkiewicza. Ale skoro jest „Dama Kameliowa"...

Z dramaturgii obcej projektowano „Wizytę starszej pani" Dürrenmatta oraz „Szklaną menażerię" Tennesee Willamsa. Czy je ujrzymy — czas pokaże.

W repertuarze „Reduty" miała się znaleźć „Kartoteka" Różewicza, głośna i uznawana za jedną z wybitniejszych sztuk powojennej dramaturgii awangardowej, znana już jednak telewidzom z telewizji (można by na to miejsce wystawić nową pozycję Różewicza „Wyszedłem z domu"), Mularczyka „Kocioł" (debiut, ale interesujący znanego autora radiowego), Bordowicza „Idący o poranku" (warty pokazania z uwagi na ciekawie nakreślone współczesne typy ludzi), cztery jednoaktówki znanego jugosłowiańskiego dramaturga, opatrzone wspólnym tytułem „Wariacje" oraz Stampfla „Krótkie światła" — ciekawa sztuka o posmaczku sensacyjnym, opatrzona jednak głębszym podtekstem, ukazuje bowiem strach tak zwanego przyzwoitego człowieka przed odpowiedzialnością).

Niestety, jak dotychczas nic nie wskazuje, aby „Reduta" mogła w najbliższym czasie wystartować z jakąś premierą. Bo choć aktorzy chętni są i pełni zapału, o czym świadczy ich prywatna inicjatywa przygotowania kabaretu, jednak nie znajdują oni zazwyczaj poparcia w kierownictwie teatru.

Chciałabym, aby ta garść uwag o lubelskim teatrze — być może reprezentująca bardzo osobiste, ale na pewno podyktowane troską o naszą jedyną scenę dramatyczną, stanowisko — wywołała ożywioną wymianę zdań, do której zachęcam również ludzi teatru. Poddanie tej sprawy pod publiczną dyskusję pomoże teatrowi dostrzec błędy i poszukać dróg wyjścia z impasu, a zarazem, zbliży go do szerokiego widza, o czym przecież tak wiele się mówi.

Bo teatrowi może pomóc tylko teatr, ale doradzić może także widz.

Halina Chabros

Redakcja drukując polemiczny, nieco przejaskrawiony, wycinkowy artykuł Haliny Chabros, traktuje go jako dyskusyjny. Serdecznie zapraszamy zarówno samych aktorów jak i miłośników teatru — w szerokim tego słowa znaczeniu — do nadsyłania wypowiedzi ilustrujących poruszone problemy. Rozpoczynając dyskusję, kierujemy się dobrem teatru lubelskiego, który ma tak bogate tradycje. Wprawdzie „medice cura te ipsum", ale wzajemna konfrontacja stanowisk powinna przynieść pożyteczne efekty.

Ze swej strony uważamy, że dyskusja mogłaby również objąć repertuar Państwowej Operetki w Lublinie, gdyż wówczas uzyskamy lepszy punkt widzenia na całokształt życia kulturalnego w naszym mieście.

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium. Redaktor naczelny: Marek Adam Jaworski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 36-45. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unicka 4.

Zam. 758 2.II.65 3200 H-6

czas. 11049/32/5

„melu zy na"

SZOPKA RZESZOWSKA 1965

Piosenka wstępna

(Wyk. zespół na mel. „Arlekina")
— Gdzie tu jest szopka?
— Gdzie pan pędzi? Niech pan [siada!
— Gdzie tu jest szopka, gdzie [tu można się wygadać?
— Czy pan nie widzi, proszę pana, [jaki tłok?
To tu jest szopka, nasza szopka, [jak co roku.
— Przepraszam bardzo, czy pan [tutaj zaproszony?
Tu zaproszone tylko znane [są persony.
Lecz jeśli pan coś dla nas [ciekawego ma,
skropimy chętnie, proszę siadać, [voila!
Bo tu niby u fryzjera
postrzyżyny robi się
na tytusa, czy do zera,
tusz do rzęs, na buzi krem.
Czy to puder, czy kolońska,
czy to z włosem, czy pod włos
tutaj goli się z rzeszowska,
a klienci mają głos.

Przewodniczący Prez. MRN i kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej

PRZEW.:
Naczelniku Winnicki!
KIER.:
— Na rozkaz się stawiam!
PRZEW.:
— Czy Waszmość ryje okopy,
barykady stawia?
By my wytyczne mamy
żeby położyć tamy:
biurokracji
populacji
znieczulicy
spychotechnice,
niech zginą, przepadną!
KIER.:
— Tak jest, Wysoka Rado!
Trud włożyłem niemały.
Rozkopałem ulice,
sypię szańce i wały.
Powygaszam latarnie,
nikt nie przejdzie bezkarnie!
(Śpiewają razem na mel. „I górnicy i hutnicy"):
Ochotniki,
robotniki
rwą na sztuki
nowe bruki,
aby głębiej,
aby więcej,
a wieczorem
zęby w ręce.
Pyta mieszczuch,
co się topi:
kto tu pod kim
dołki kopie??
Czy to obłęd,
czy to mania,
może to
poszukiwania,
gdzie tu tkwią
kultury starsze
i podziemie,
gospodarcze,
zabytkowa
ceramika
i korzenie poprzednika...
Choć nikt się dobrze w tym nie [orientuje,
lecz rozkopuje
na cały gaz!

Chór architektów

(Na mel. „Samosierry")
A czyjeż to imię rozlega się [sławą?
Toż to „Miastoprojekt" sunie [tutaj ławą.
Same architekty, same [kosyniery,
Zdobywają szturmem drogę [do kariery
Już elewatywa pyszni się, [jak żywa,
z przodu wystrojona, z tyłu [nieszczęśliwa
Już kuchenka — męka, metr [dwadzieścia osiem
i dwa pokoiki — jak dwie dziurki [w nosie.
Już wieżowce drapią nasze niebo [w piętę,
robią architekty cuda niepojęte.
Bracia, kreślcie jeno — już [Stanula skinął,
skoczył Tomaszewski i papiery [zwinął.

Józefowski z Noskiem, Martens [i Kosiba
kreślą zapalczywie, pot im z czoła [spływa.
Już osiedle Piastów świeci jasnym [blaskiem.
nie ma się co dziwić, projekt [jest... warszawski

Rzeszowscy poeci

Obywatelu Redaktorze,
poezja to jest złoty szerszeń,
co kąsa, więc się pisze wiersze.
Cóż, każdy pisze tak jak może,
Obywatelu Redaktorze!

I chociaż różne tam krytyki
chcą implikować nam przytyki,
my je za wzorem Krasickiego
włożymy między Bajkowskiego.
A teraz damy próbkę może...
Obywatelu Redaktorze...

...że rozkołysała pokołysała
wiatrem róż drzewem
ust pucharem
że skupionym uszom
polewki
zguba hełmi się duch
szczotka
na
kiju
a nam
kondraciuka kciuk
obuchem kandelabrem tondosem [kubasem ogromnym
zawęźle
piekło zapiekło
na zapiecki
na morski
zamorski zawirski zabierowski
naleśnik serca
urwany
grygiel od komory
myśli...
śli...
ale nie dośli...
eeeee....

Dziad

(Wprowadza dziennikarzy z „Nowin Rzeszowskich"):
Teraz, ludkowie, rychło się [dowiecie
co tam w „Nowinach" jutro [wynajdziecie.
To dziennikarze idą od strzyżenia
i od... G o l e n i a.

Dziennikarz

(Śpiewa na mel. „Wesoły autobus"):
Piętnastolecie, aha,
w naszej gazecie, aha,
już Sienkiewicz z Kopciem
uwiecznili je,
wesoły autobus
po Rzeszowie mknie.
Boczar po pompkę, aha,
Bilski za trąbkę, aha,
ciągnie Wisz wichajster,
a Gajewski gaz,
jazda, panie majster,
bo już na nas czas.
Droga za nami, aha,
usiana kaczkami, aha.
Rzadko te zwierzęta
są przyczyną chlub,
więc naczelny skręca,
żeby niszczyć drób.

Gnieść się dziś musiem, aha,
w ciasnym autobusie, aha.
Na trzydziestolecie
pośród girland z róż
Jerzy narysuje
dla każdego wóz!

Teatr

(Osoby: dyrektor S. Winter, Lidia Maksymowicz, Zdz. Kozień)
WINTER:
Kto mnie wołał, czego chciał?
Zebrałem się w com ta miał.
Na „Weselu", czy w teatrze
jam gospodarz jak się patrzy.
Zawrót głowy, wielka chwała,
gdy wam sztuki płatam różne...
MAKSYMOWICZ:
A to męcząco robota.
Nie dziwota, nie dziwota
żeś tak zblednął, taki wrzący...
WINTER:
A wiesz, mała tyle tego,
że mi w głowie huczy, szumi.
Kto zrozumi, kto zrozumi?
. . . . . .
KOZIEŃ
(do Lidii Maksymowicz):
Panienka się nie zgniewają,
że ją lepiej gabnę w pasie.
Ano, Kaśka w sobie syrso...
MAKSYMOWICZ:
Za to ja w teatrze pirso!
WINTER:
Wyście sobie, a ja sobie,
każdy sobie rzepkę skrobie.
Gdy premiery przyjdzie pora,
kędy szukać nam aktora,
co udźwignąć rolę zdoła?
KOZIEŃ:
Mos dokoła, mos dokoła...
WINTER:
Los: fatyga, czas: mitręga,
kiedy czeka ról obsada.
Co zakupię sobie grajka,
to mi się do duszy nada.
KOZIEŃ:
Jakby kiedy, co, do czego,
myśmy — wi się — nie do tego
Maksymowic i Jachowic,
Buratowski i Carnowski,
Pasiutówna, Chudzikówna,
który teatr nam dorówna?
Także innych bardzo wiela,
no i Kozień, ten z „Wesela".
Asy wisą nad boiskiem!
WINTER:
Wyście zawdy mocny pyskiem.
A jak taki aktor jęknie
to po całym mieście jęczy
od poranku do wieczora.
Pan — dziad z lirą. Cień aktora
MAKSYMOWICZ:
Znam, znam, Elwira l'arte,
życie nasze nic nie warte.
Ha, trza znosić fata, los,
konsekwentnie pusty trzos.
O wielkościach darmo śnić,
trzeba żyć, trzeba żyć...
Pleśniarowicz, ten miał nos...
WINTER:
Tyle z tym „Weselem" zachodu
nie myślałem, że tak wiele!
MAKSYMOWICZ:
Ano, chciałeś, mos wesele!
WINTER:
A gdzie mój laurowy wieniec?
MAKSYMOWICZ:
Takiś to nienasyceniec?
Jak chce wieniec, niech się żeni,
albo repertuar zmieni,
chyci widza, zwyobraco...
KOZIEŃ:
Jest ta w kasie chycić za co...
MAKSYMOWICZ:
Ino to miastowe państwo
patrzy, patrzy, a poziwo
WINTER:
Ale piknie się odbywo.
(Razem śpiewają, jak zaczarowani):
Miał ci teatr czapkę z piór,
miał ci teatr złoty róg,
czapkę Winter niesie,
na dwudziestolecie
został nam się ino sznur.

Chór dyrektorów

(Na mel. „Filipinki — to my")
Ja się znam na śrubokręcie,
ty się znów na serze znasz,
a kolega drób ma w pięcie,
wie, gdzie kurza twarz.

Gdy nam przyjdzie spaść z foteli,
każdy nowy ujmie ster:
ja do drobiu, ty — śrubokręt,
a kolega — ser.

Jedno wspólne imię mamy:
dyrektorzy,
Przybywamy, wybywamy,
dyrektorzy
Każdy z nas wszystkich zna,
wszystko może,
choć nie raz zdejmą nas
ale i posadzą tożę...

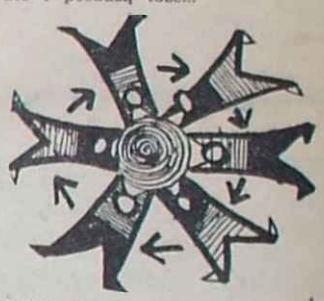

Stolce mamy murowane,
dyrektorzy,
bo w dowodach wypisane:
dyrektorzy.
Już od lat wszedł nam w krew
władzy zew!
Dy-dy-dy-dy-
dyrektorzy, psiakrew!
(Jeden z dyrektorów — mówi:)
My mamy możność przyjrzeć się [z bliska
różnym zakładom, różnym [zawodom.
Tam nas witają chlebem i solą,
czasem żegnają chlebem i wodą...
Lecz mimo wszystko raduje [się dusza,
gdy karuzela z madonnami rusza!
(Śpiewają na mel. „Karuzela"):
Karuzela, karuzela
dyrektorów wam przydziela,
fotelami nas obdziela
karuzela, karuzela.
Beczka śmiechu i wesela —
karuzela, karuzela.

Finał

(Śpiewa zespół na mel. „Artystki, artystki").
Bo w szopce, bo w szopce
wesoło mija czas,
tu nic się nie bierze [zbyt poważnie.
Prześwietlą, naświetlą
każdego spośród nas.
lecz tego potrzeba nam [wszystkim właśnie.
Bo w szopce, bo w szopce
zbyt szybko mija czas,
na głos czeka jeszcze wiele osób.
Lecz, niestety, koniec, kropka,
gdyż skończona nasza szopka,
resztę damy już w następnym [roku!

Tekst: Władysław Szwaja
Oprac. graficzne: Stanisław Gliwa